

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 18. IX.
1960 r.
Nr 37 (133)
Cena 1 zł

JERZY WALEŃCZYK

ZNASZ-li ten KRAJ?

STOKI

Stać tu i popatrz. Oto ob-
szary nieba nad Łodzią. Oto
dymy spienione, załamane
wiatrem. Jeżeli to będzie
dzień spokojny, będą się
pięły wysokimi, brunatnymi
sosnami, aby u szczytu róż-
pieść się, zmieszać z chmu-
rą leniwą, bezwładną, zabar-
wić ją i stać się jej częścią,
jej ciałem. Dziesiątki komin-
ów tryskających z różnych
dzielnic. Tam, na prawo
masz Bahuty. Jakby się
gdzieś zapadały, nikną. Te-

ren niższy, równia pochyła.
Na wprost siebie masz śród-
mieście, bezsenne, iglaste
kominami, leży w pokrowcu
szarej urody. Możesz patrzeć
teraz na lewo. Jakby się
teren podnosił, miasto tu
jakby krótsze, ale długa
jest linia horyzontu uwień-
czona pasmem lasów. Jeżeli
będziesz patrzył wieczorem,
będziesz zdumiony, że to
miasto potrafi być takie
piękne. Wygląda wtedy, jak
gdyby ktoś małe czarne

klocki domino z białymi
fosforyzowanymi punkcika-
mi poustawiał, tak gra, a
bliżej ciemność niknie w
zaroślach światła.

Można więc tu tak stać i
podziwiać miasto i dymy,
które, jeżeli im się długo
przyglądać, odkrywają, że po-
siadają jakieś własne życie,
pozorne i prawdziwe. Dymy
zwiastujące pogodę.

(Dokończenie na str. 6)



OLIMPIADA

Patrz str. 3

Bożek XX wieku

na str. 4

„Nigdy nie braknie głuptasów
noszących drzewo do lasu”



Na str. 8 fraszki Sztaudyngera



Plaskorzeźba romańska z XII w. odnaleziona w kolegiacie w Wiślicy
(Archiwum Zespołu Naukowego do Badań nad Polskim
Średniowieczem w Wiślicy)

TADEUSZ SZEWERA

MILENIUM O STO LAT ZA POZNO

ODKRYCIA W WIŚLICY RZUCAJĄ
NOWE ŚWIATŁO NA HISTORIĘ POLSKI

KIELCE (PAP) — W 1000-lecie Wiślicy wznówione
zostały prace badawcze... Zespół archeologów prze-
prowadza badania podziemna kościoła wislickiego
pobudowanego na gruzach kolegiaty romańskiej z
XI wieku... Pod głównym ołtarzem znaleziono kil-
ka trumien ze szkieletami zakonników i księży. Je-
den z księży został prawdopodobnie pochowany w
letargu, o czym świadczą nienaturalny układ kości.

KOŚCIÓŁ ZA GRZECHY

Zacznijmy od faktu hi-
storycznego, który może się
dziś wydać już tylko ane-
dota. W roku 1349 król Ka-
zimierz Wielki, wsławiony
nie tylko mądrością polity-
czną, lecz również i licznymi
miłostkami, został (zresztą
już nie po raz pierwszy)
zgromiony publicznie przez
wikariusza katedry krakow-
skiej, księdza Marcina Ba-
ryczkę za rozwiązy tryb
życia. Wielki król wpadł w
gniew i już następnego dnia,
z jego rozkazu dworacy bez
zbędnych ceregieli utopili
księdza Baryczkę w Wiśle.
W Stolicy Apostolskiej za-
wrzało, a król ponieważ-
nie złąkł się własnego czy-

nu, czy może kławy papies-
kiej, no i zaczął gorliwie
odprawiać pokutę.

Przypomina nam się ten
fakt, kiedy stoimy przed
pięknym portalem kolegiaty
w Wiślicy, ufundowanej
przez Kazimierza Wielkiego
dla prześlania Boga i pa-
pieża za grzech kapłanobój-
stwa. Portal zdobi tablica
erekcyjna (notabene funda-
cji Długosza), na której król
w pozie arcybogobojnej o-
fiarowuje Madonnie model
świątyni, jeden z najpięk-
niejszych zabytków naszej
architektury owego okresu.
I tak to, chociaż ten sąd
może się wydać cyniczny,
śmierć księdza Baryczki
przysporzyła Polsce nowe
arcydzieło sztuki.

POCZTÓWKA PANA
MARCA

Wnętrze i otoczenie tej
kolegiaty od wielu lat, a
od roku 1958 szczególnie,
pasjonuje naszych archeolo-
gów i historyków sztuki.
Nie jest to przypadkowe. Wi-
ślica była przecież jednym
z ośrodków politycznych
polskiego wczesnego śred-
niowiecza; wspominają o
niej najdawniejsze źródła
pisane. Nazwę państwa Wi-
ślan zapisali: i mnich —
autor „Żywota świętego Me-
todego”, i Geograf Bawar-
ski, i król Angielski Alfred
Wielki panujący u schyłku
IX wieku. Lecz, niestety,
jak dotąd nie udało się u-
stalić, gdzie leżała stolica
tego państwa, którego gra-
nice od południa biegly
grzbietami Karpat i Tatr,
na zachodzie sięgały Sude-
tów, na wschodzie dochodzi-
ły do Bugu, tam, gdzie dzi-
siejszy Brześć, na północy

(Dalszy ciąg na str. 5)



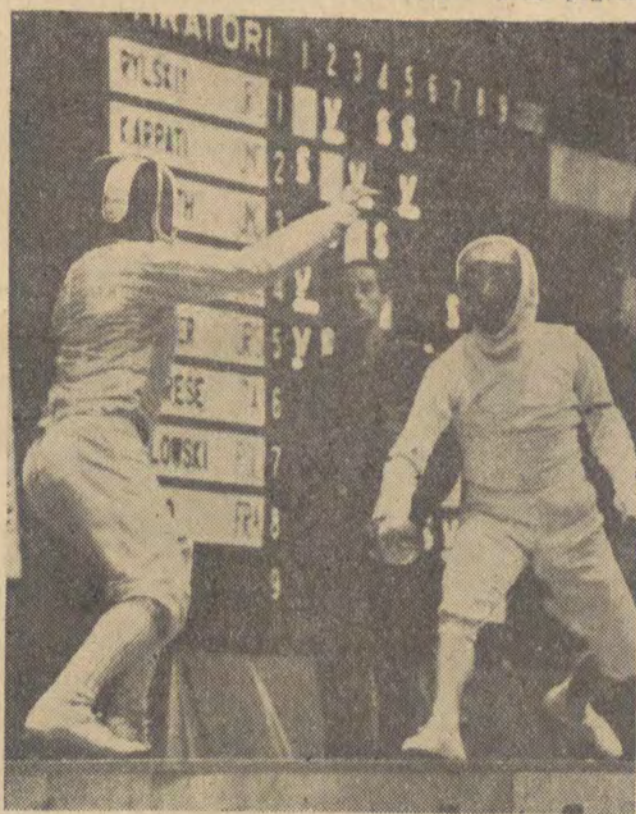
Pływaczka Fraser (Australia) z prawej — złota medalistka wyścigu na 100 m st. dow. Von Saltza (USA) — srebrny medal w tym biegu



Finaliści wyścigu pływackiego na 400 m stylem dowolnym. Od lewej: Jamanaka (Japonia) — II miejsce, Rose (USA) — I miejsce i Kondrads (Australia) — III miejsce



Najwszechstronniejszy lekkoatleta Igrzysk — zwycięzca dziesięcioboju Amerykanin Rafer Johnson ustanowił nowy rekord olimpijski



Walka Pawłowskiego z Francuzem Roulot. Zdjęcia FOT-CAF

WIESŁAW KACZMAREK

MYŚLIMY O TOKIO

Przy donośnych surmach triumfu zamykano XVII Igrzyska Olimpijskie. Ekranowy telewizorów pożegnały widzów nieco sentymentalnym „Rivederci a Tokio” i... jeszcze jedno święto zostało zakończone. W 24 godziny później przewodniczący GKKF Włodzimierz Rączek „podsumował” polski dorobek, stwierdzając z zadowoleniem, iż jest on okazalszy niż kiedykolwiek w przeszłości.

Na ogół zdajemy sobie sprawę ze źródeł naszych osiągnięć. Nie to jest więc najistotniejsze obecnie, gdy jeszcze trwa nastrój podniecenia i wrze dyskusja wokół sukcesów i porażek. Nie chciałbym psuć pogodnych

humorów wywoływaniem widm, lecz doświadczenie uczy, iż lubimy przedłużać świąteczne nastroje na dni powszednie. Powstaje zatem konieczność zwrócenia uwagi na niebezpieczeństwo lekkomyślnego i nieprzerwanego zachwywania się 21 medalami Polaków, ich wysoką lokatą w nieoficjalnej klasyfikacji punktowej; trzeba sobie powiedzieć, że już w poniedziałek, 12 września, zaczął się nowy roboczy okres przedolimpijski.

Absolutnie nie chcemy nawoływać do koncentrowania się na wyczynie i wyrubowywaniu rekordów.

Ciekawa i charakterystyczna wypowiedź w tej sprawie złożył p. Avery Brundage, prezydent MKOl, człowiek, gwałtownie walczący przeciw rzekomemu niebezpieczeństwu powstawania nacjonalistycznych tendencji w sporcie. Amerykanin, ubolewając nad porażką swych rodaków, powiedział, że gdyby w jego kraju sport był tak powszechny i masowy jak to ma miejsce w ZSRR i innych państwach socjalistycznych, nie miałby obaw o hegemonię Stanów Zjednoczonych.

Niezależnie od politycznych wydywisków tej wypowiedzi, można uznać, że

— 30 lat. Zimny — 26 lat, Schmidt — 25 lat.

O kobietach powinno się mówić z dyskrecją, lecz tu ona nie obowiązuje. Krzesińska ma 26 lat, Janiszewska 24.



Inni reprezentanci są mniej więcej w tym samym, lub bardziej zaawansowanym wieku. Taki Krzesiński powinien już być zaliczany do old boyów tyczki — przekroczył granicę 33 lat. Ożóg skończył lat 30. Kropidowski 29, Sidło 27. Wysłaliśmy reprezentację silną, ale w równym stopniu „dojrzałą” wiekiem. Nie ma co liczyć, aby wielu z uczestników Igrzysk w Rzymie mogło znaleźć się za cztery lata w Tokio.

Za przykład wzięliśmy lekkoatletykę. W boksie, który tyle nam przyniósł zadowolenia, sprawa wieku występuje jeszcze ostrzej. W gimnastyce podobnie. O piłce nożnej lepiej nie mówić. Najgorzej — w hokeju na trawie, który miał przynieść kosy, a przyniósł ulegalki.

W Rzymie obserwowaliśmy generalny triumf młodości. Co jeden medalista, to młodszy. Zwycięzca 10-boju, najtrudniejszej i najbar dziej olimpijskiej konkurencji, czarnoskóry Rafer Johnson, jest dopiero studentem uniwersytetu. U nas zasłużyłby chyba na „pomnik stulecia” za swe fantastyczne wyniki. A Johnson, o ile nie wyleją go z uczelni, będzie absolutnym faworytem także w Tokio. W tym samym Tokio, do którego naszych dzisiejszych medalistów będziemy chyba wysyłać jako zastużonych sportowców — obserwatorów lub kierowników ekip.



Brundage trafił w sedno sprawy. Wszędzie tam, gdzie podnosi się kulturę fizyczną całego społeczeństwa, gdzie sportowi przywraca się blask starogreckich Igrzysk, gdzie staje się on instytucją wychowawczą i masową — można mówić, wróżyć i prorokować sukcesy.

Olimpiada była rzeczywiście festiwalem młodości. Niezależnie, albo nawet wbrew doświadczeniom naukowców, granica szczytowych osiągnięć obniżyła się o kilka lat. Dawniej uważano, że średniostanowiec musi mieć co najmniej 27 lat, aby pobić rekord świata. W Rzymie 21-letni korespondent prasowy Tytus Snell z Nowej Zelandii był nie do docięgnięcia przez najwybitniejsze sławy światowe. Liczacie przeciętnie 25 — 28 lat. 20-letnia Murzynka Wilma Rudolph była bezwzględnie najszybsza, ale także i najmłodsza dziewczyna Igrzysk. W pływaniu nastąpiła kompletna rewolucja. Trzy finaliści 100 m stylem dowolnym miały w sumie 52 lata. Bariera wieku rekordzistów i rekordzistek gwałtownie się obniża. Co będzie w Tokio? Nikt z nas nie chciałby, aby Polacy występowali tam w roli Matuzalewów. A przyjrzyjmy się naszym medalistom. Krzyszkowiak liczy sobie 32 rok życia, Tadeusz Rut



XVII Igrzyska się skończyły. Skończyły się święta. Panowie, w poniedziałek 12 września powinniście się zabrać do roboty nad polskim sportem, który tak pięknie błyszczy złotem, srebrem i brązem rzymskich medali, ale pilnujmy, aby na tym jaśniejszym słońcu sukcesów nie pojawiły się niebezpieczne plamy skostnienia.

odqtosy str. 3

Lekarstwo na starość

W „Przekroju” Jerzy Passakas publikuje bardzo ciekawy reportaż z sanatorium w Inowrocławiu, gdzie przy pomocy nowego leku, gerio-kainu, lekarze starają się przesunąć granicę wieku ludzkiego. Rezultaty — co za świadcząca wypowiedzi pacjentów — są zupełnie niezłe, dr Snarski, naczelny lekarz inowrocławskiego uzdrowiska, potrafi zreperować prawie wszystko: nerwy, serce, gruczoły hormonalne. Reportaż Passakasa winni przeczytać wszyscy, choć, niestety, do sanatorium można się dostać dopiero w wieku podaszym. Tym, którzy czują się starzy, choć nie skończyli jeszcze trzydziestki, dr Snarski zaleca higienę fizyczną i psychiczną, oraz zmianę środowiska. Jeśli, rzecz jasna,

chcą dożyć później starości. Przed powzięciem decyzji rozdzielby jednak zastanowić się przez chwilę, ludzie o higienicznej psychice są, proszę państwa, zazwyczaj niezbyt lubiani. I nie w tym dziwnego.

ERAZM



talicio Gonzales, Herib Campos Cerrera czy Augusto Ros Bastos, Josefina Pia, Jesus Amado Recalde, Elvio Romero i inni pozostają nam obcy”.

„Trzeba nam także — powiada dalej pani Donata — pilnie obserwować literaturę tunezyjską”.

A także literaturę arabską, nikaraguańską, urugwajską i południowo-afrykańską. Ołbrzymy budzą się, będzie na to potrzeba olbrzymich ilości papieru, zaległości należy odbierać, paragwajczycy czekają w kolejce. Publikujmy więc paragwajczyków, Henry Miller może poczekać, Faulkner także może poczekać, przeczytaliśmy niedawno „Światłość w sierpniu” i „Opowiadania”, „Intruder in the Dust” może poczekać, kilku, podobno niezłych, pisarzy polskich może zechce się wstrzymać z publikacją swoich nowych książek, przez kazując papier na rzecz paragwajczyków. Redakcji „Życia Literackiego” należą się gratulacje, problem 115 (liczyłem!) ołbrzymów załatwiono w jednym artykule (niecała strona druku), ukon-

tentowani czytelnicy znają już na pamięć nazwiska wszystkich młodych pisarzy argentyńskich i arabskich i nadal nie wiedzą nic o tych egzotycznych dla nas literaturach, nie wiedzą, jakie soki w nich krążą, nie wiedzą, dokąd sięgają korzenie. P. Donata Ciepiewko słusznie narzeka na luki w naszej znajomości literatury światowej. Czyżby jednak naprawdę brak było u nas fachowców, którzy mogliby te luki wypełnić?



CO ZNACZY STO LAT
HISTORII MASZYN WO-
BEC DWUSTU TYSIĘCY
LAT HISTORII CZŁO-
WIEKA?
(SAINT-EXUPERY)

KRZYSZTOF POGORZELEC

BOŻEK XX WIEKU

Autor „Nocnego Lotu” pomylił się jednak. Miarka czasu jest bowiem w tym przypadku zawodna. Sztuczny gracz w szachy Leonarda Torresa y Queveda, mechaniczny pies reagujący gryzieniem na ciepło, były jeszcze tylko zabawkami. Elektryczne żółwie Greya Waltera: „ELMER — „Electro-Mechanical-Robot”, ELSIE — „Electro-Light-Sensitive-Internal-External”, CO-RA — „Conditioned-Reflex-Analogie” — TRZEMA ETAPAMI REWOLUCJI, a chwila, w której powstały — DATA URODZIN ZWIERZĄT CYBERNETYCZNYCH.

Elsie i Elmer żywią się światłem. Komórka fotoelektryczna jest ich okiem i brzuchem. Po naprowadzeniu na światło — sycą się nim, a nakarmione odchodzą w cień na zastawione „trawienie” i odpoczynek. Amerykanin Shannon wynalazł i skonstruował sztuczną mysz, której sercem jest zestaw mikroskopijnych elektronowych lamp. Porusza się sama w labiryncie mebli, odnajduje przynętę.

MELDUNKI Z PLACU BOJU

Wyścig trwa od lat. W roku 1915 amerykańska firma Ford Company zamówiła w fabryce A.O. Smith z Milwaukee 10 tysięcy podwozi do samochodów. Aby to zamówienie mogło być wykonane, ostatecznie z wymienionych przedsiębiorstw kosztem 8 mln. dolarów zmieniło swój dotychczasowy system produkcji i zaczęło przetwarzać stalowe taśmy na podwozia, przy pomocy ściśle połączonych ze sobą procesów automatycznych. W Cleveland — wspomniany już Ford — nie chcąc dać się wyprzedzić swoim konkurentom — buduje fabrykę samochodów, której „linie produkcyjne” są tak pomyślane, że udział robotników w procesie montażu sprowadza się tylko do biernego obserwowania i oczekiwania na końcu „ciągu” maszyn na gotowy wyrób. Nad całością i prawidłowym przebiegiem prac czuwa strażnik — ELEKTRONOWE OKO. Jego uwadze nie ujdzie żaden brak. Gdy stępią się noże, gdy któraś z operacji zostanie wykonana źle — automatyczny inspektor czerwonym światłem alarmuje i ostrzega, daje znać ludziom, że na nich również zostały nałożone pewne obowiązki. Ale rytm pracy nie ustaje, produkcja biegnie dalej, omijając zapasową „linię” to stanowisko, na którym nastąpiło uszkodzenie. Tym wszystkim kieruje OKO-AUTOMAT.

Ford nie jest amerykańskim wyjątkiem. General Motors, De Soto i Chrysler — to przemysłowe twierdze tradycji, które jednak musiały się poddać i otworzyć drzwi takim jak ELMER czy ELSIE. W halach produkcyjnych tych koncernów pracują maszyny, których obowiązkem jest — z grubsza biorąc — obsługiwanie innych maszyn. Tak więc frezarkę wykra-

wają z metalu najbardziej skomplikowane wyroby bez udziału człowieka, a całym procesem kieruje „włączony” do agregatów mózg elektronowy, w którego pamięci jak na taśmie zanotowane zostały wszystkie kolejno po sobie następujące operacje.

Praca, do wykonania której potrzebny był dawniej wysiłek mięśni ludzkich, nie jest jednak wyłącznym terenem ekspansji automatów, odsuwających w cień człowieka. „NIVAC” i „MANIAC” — te nazwy są bardzo dobrze znane amerykańskiemu urzędnikom. Pod nimi kryją się bowiem potężne kalkulatory, które eliminują planistów i ekonomistów pozwalają na przewidywanie i porównawcze studiowanie różnych możliwych rozwiązań danego problemu, choćby w grę wchodził jednocześnie ludzie i maszyny. Kalkulator elektryczny łączy w sobie wiele funkcji, które dawniej należały do różnych działów administracji, i może spełnić równocześnie rolę księgowego, ustalać wielkość potrzebnych zakupów, umie szybko obliczyć zapas każdego artykułu w magazynie, potrafi sam w razie potrzeby wydać zlecenie nabywania, a nawet da odpowiedź na pytanie, jaki z dostawców jest najkorzystniejszym kontrahentem dla przedsiębiorstwa — oczywiście, na podstawie uprzednio „zadanych” mózgowi elektronowemu kryteriów.

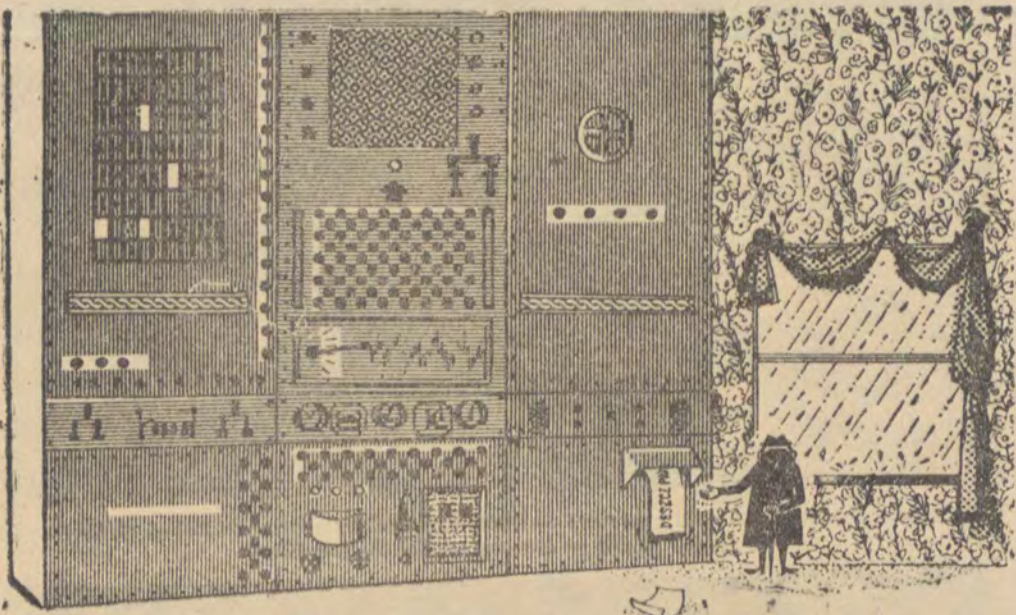
Jak bardzo skomplikowane mogą być te obliczenia, świadczy przykład, podany przez jedno z fachowych pism amerykańskich: Pewna firma posiada na składzie 200 tys. artykułów umieszczonych w kraju w czterech różnych magazynach. Zapasy te muszą być ekspedowane do 51 miejscowości, a poszczególne przesyłki są w każdym przypadku ilościowo odmienne. „Zadaje się” maszynie elektronicznej dane, dotyczące zapasów, zapotrzebowania 51 odbiorców i koszty transportu. Należy z możliwych słu — w tym przypadku — tras dowozu. Kalkulator elektroniczny rozwiązuje takie zadanie w ciągu niespełna 10 sekund, określając jednocześnie, komu, oraz ile materiałów trzeba wysłać przy najmniejszych kosztach transportu.”

Tyle wieści z Nowego Kontynentu. Stara Europa też jednak nie chce w tym wyścigu pozostać w tyle. Linie montażowe angielskiej firmy Austin Motor Company spod Birmingham są prawdopodobnie jednymi z najnowocześniejszych na świecie „specjalista” od samochodów — Morris Motor Co idzie tymi samymi śladami, a pierwszy w historii ludzkości kalkulator klawiszowy — czyli mózg elektronowy, został skonstruowany w Wielkiej Brytanii, na Uniwersytecie w Cambridge. Charakterystyczne jest przy tym zdanie amerykańskiego fachowca, jednego z dyrektorów Ford Motor wypowiedziane w roku 1953 o produkcji samochodów we francuskiej fabryce Renault. Cytując: „Zakłady te są bardziej zautomatyzowane niż wszystko, co na tym polu osiągnięto w amerykańskim przemyśle samochodowym”. Warto również dodać iż Francja jest bardzo daleko za-

awansowana w produkcji urządzeń automatyzujących, takich, jak taśmy magnetofonowe, szybkie maszyny drukarskie oraz uniwersalne kalkulatory. Bardzo podobnie kształtuje się sytuacja w NRE, które zdołały nawet zbudować najtańszy na świecie klawiszowy kalkulator elektroniczny średniej wielkości i daleko wyprzedziły niezawodnych zwykłe pod tym względem Japończyków. Niemcy stosują aparaturę elektroniczną głównie dla celów automatyzacji urządzeń kontrolnych i pomiarowych w fabrykach chemicznych oraz stalowniach.

NOWY PARTNER

W Stanach Zjednoczonych pracuje — już obecnie kilka tysięcy kalkulatorów elektronicznych, wśród których znajdują się tak precyzyjne i olbrzymie maszyny jak „BIZMAC”, kontrolujący 200 tys. rodzajów — rozrzuconych po całym świecie — części zapasowych transportu samochodowego US Army, lub „ERMA” — „Electronic Recording Accounting Machiner” — kalkulator, który został zbudowany przez Stanford Research Institute dla Bank of America. Zajmuje się on „prowadzeniem” rachunków i operacji, związanych z regulowaniem czeków. Ale krok w krok za USA postępuje inna „elektronowa” potęga: Związek Radziecki. By nie być głośliwym wymienię tutaj kalkulatory,



A oto jak francuski rysownik wyobraża sobie przydatność mózgu elektronowego, do kierowania pogodą. Autor — Francis Marock. („Swiat”)

na przedmieściach Moskwy zakład „Stankonstrukcja”, zajmujący się produkcją z płynnego stopu aluminium — tloków do silników samochodowych, wyrabiając je z dokładnością do 1/10000 cala — został w roku 1950 w pełni zautomatyzowany i oddany pod dozór elektronicznych czujników i kalkulatorów. Związek Radziecki jest także pierwszym państwem, które zorganizowało u siebie specjalny instytut badań nad zastosowaniem automatyzacji i telemechaniki dla celów przemysłowych.

Dosyć przykłądów. Sytuacja jest przecież jasna: maszyny we współczesnym tego słowa znaczeniu wdzierają się we wszystkie dziedzi-ny życia człowieka. Więcej — stają się niezbędne, a ich udział w warunkach nadającego za innymi i to często w takich sferach, które niegdyś były wyłączną domeną ludzi.

KŁĘSKA?

„Robotnicy nie powinni lękać się automatyzacji”. Taką opinię wygłosił uczone angielski Frederic Pollock w

Wzrost produkcji, nawet przy niezmiennym zatrudnieniu, oznacza spadek robocizny, przypadający na jednostkę gotowego produktu. Wprowadzenie automatyzacji może także pociągnąć za sobą wzrost zatrudnienia, zwłaszcza wówczas, gdy przedsiębiorstwo ma szansę rozszerzenia zbytu.”

W praktyce niektórych krajów ta sprawa wygląda jednak nieco inaczej. Kilka faktów: amerykańskie przedsiębiorstwo Columbia Record Co, po wprowadzeniu u siebie automatycznych linii produkcyjnych zmniejszyło 250 robotników spośród 300 poprzednio zatrudnionych. Podobny zabieg dokonany w rafineriach ropy USA doprowadził do redukcji 10 tys. osób, a stalownia koncernu US Steel w Moristown, produkująca około 2 mln ton stali zmniejszyła stan liczebny załogi o 70 proc. Do tego rejestru można by dodać nazwy firm — Willys, Kaiser-Fraser, Packard, Nash i wielu innych...

A więc?

Poszukuje się rozwiązań. W niedawno opublikowanym

bocej. Niezbędne są także nowe przepisy prawne, ustalające tryb postępowania z ludźmi, którzy na skutek automatyzacji robót dawniej przez nich wykonywanych utracili źródło zarobku.”

DOBRODZIEJSTWO

Tak, bo mimo wszystko Elsie i Elmer oznaczają szansę zwiększenia produkcji różnych dóbr materialnych, tak potrzebnych ciągle głodującej i rozmnażającej się w postępie geometrycznym ludzkiej społeczności, i to nie przez zwiększony wysiłek człowieka, lecz wręcz odwrotnie — dzięki maszynom.

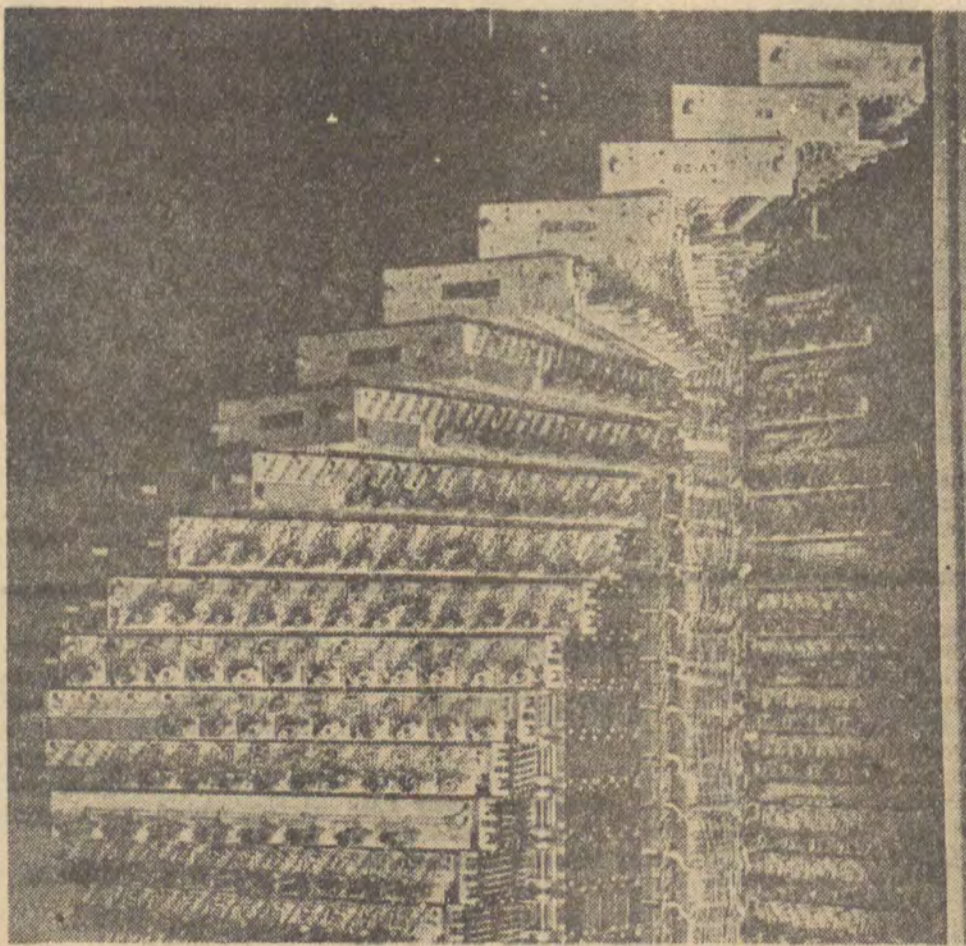
Gazeta angielska „Financial Times” tak pisze na temat ubocznych skutków tego procesu: „Najpierw nastąpi zmniejszenie nacisku na wynikające z produkcji procesy, mniej uzależnione od wysiłku człowieka. Powstałe stad odprężenie będzie odczuwalne nie tylko fizycznie, lecz i pod względem umysłowym. Kierownik wydziału nie będzie już więcej „poprawiał” wyników produkcji przez poprawianie podległych mu ludzi, bowiem wszystko zostanie uzależnione od maszyny. Dlatego też zmianie ulegną ustalone pojęcia, m. in. „pana i slugi”. Kierujący i kierowany wejdą w nowy stosunek, którego podstawą będzie wspólny cel — osiągnięcie maksymalnej wydajności maszyny, a przez to zanikną będą stopniowo te sprzeczne stanowiska, wynikające stąd, że jeden człowiek znajduje się w sytuacji, która zmusza go do popędzania towarzyszy pracy.”

Wyobraźnia naukowców sięga jeszcze dalej. Profesor W. A. Trepaznikow, dyrektor Instytutu Astronautyki i Telemechaniki wyraził się:

„W przyszłości automatyka pozwoli całkowicie wyeliminować pracę, której towarzyszy podwyższona temperatura i ciśnienie lub trujące, szkodliwe dla zdrowia wyziewy. Pozwoli przekształcić stopniowo pracę fizyczną w umysłową. Energia i siły życiowe człowieka, zaangażowane bezpośrednio w produkcję będą mogły być wykorzystane w znacznie większym stopniu nie na procesy kontroli, ani tym bardziej pracę fizyczną, lecz na przygotowanie i realizację nowych idei inżynierskich. Człowiek mając więcej czasu, więcej środków i możliwości do własnej dyspozycji, będzie w stanie — po raz pierwszy w historii — poświęcić sobie tyle uwagi, na ile rzeczywistość zastrzuguje. Będzie to era naukowego podjęcia do zdrowia ludzkiego: do racjonalnego podziału czasu na pracę i odpoczynek.”

Staniemy się więc społeczeństwem... dobroczynnych maszyn? Zbigniew Bienkowski w swojej niedawno opublikowanej książce pt. „Piekła i Orfeusza”, zauważa z przekasem:

„MASZYNA NIE TYLKO NIE BĘDZIE PISAŁA TRAGEDII, ALE NIE BĘDZIE W STANIE CZYNIC WIELU INNYCH RZECZY. TO DLA SAMOUSPOKOJENIA, ABY MÓC PRZEJŚĆ DO OSTREGO UCZUCIA ZAWIŚCI...”



Tak wyglądają „wnętrznosci” francuskiego mózgu elektronowego „Gamma 3”. Prawda, że „drobiazgi”? (reprodukcja ze „Swiat”)

całkowicie zbudowane w ZSRR o nazwach KIJEW BESM i KRISTAL, a świeżo skonstruowane i przekazane do użytkowania radzieckie urządzenia do segregacji efektów ekonomicznych produkcji, posiadają — jak twierdzą fachowcy — najobszerniejszy „zespół pamięciowy” spośród wszystkich istniejących do tej pory na całym świecie mózgów elektronicznych. Związek Radziecki stosuje te urządzenia przede wszystkim w fabrykach, wyrabiających maszyny rolnicze, stal tożyskową oraz chemikalia, a położony

swey książce pod tytułem „Ekonomiczne i społeczne konsekwencje automatyzacji”. I tak to stwierdzenie uzasadnia: (cytuje za art. W. Reada — zamieszczonym w „Biuletynie Ekonomicznym” PAP).

„Dlaczego przedsiębiorstwa wprowadzają automatyzację? Czynnikiem przede wszystkim po to, by uzyskać oszczędności w placach. Dzięki automatyzacji maszynom i urządzeniom można produkować znacznie więcej wyrobów, zatrudniając jednocześnie tę samą ilość siły roboczej. Powoduje to obniżenie kosztów.

wydawnictwie UNESCO stwierdza się: „sprawiedliwość wymaga, by człowiek, który utracił pracę albo specjalność wskutek wprowadzenia automatyzacji, znalazł zatrudnienie, wynagrodzenie podobne do poprzedniego. Dopóki ten problem nie zostanie rozwiązany przez skrócenie czasu pracy — konieczne się wydaje stworzenie szerokiego programu budowy tego typu obiektów, jak szpitale, drogi, szkoły, zapory przeciwpowodziowe, stowom — program robót, które pochłaniałyby przejściowo występującą nadwyżkę siły ra-

(Dokończenie ze str. 1)
zaś do doliny Pilicy. Archeologowie kopali na Wawelu i w innych miejscach, kopali także już w Wiślicy. Bez skutku. Aż pewnego dnia roku 1958 nadeszła do Warszawy wiadomość od ekornego nauczyciela wiejskiego, gorącego miłośnika historii ojczystej, a historii Wiślicy w szczególności, pana Stefana Marca. Wiadomość treści takiej:

— Uprzejmie powiadamiam, że w jednym z wykopów wodociągowych odsłonięto jakieś bliżej niezidentyfikowane mury. Przypuszczam, że dwa z nich są fragmentem murów, otaczających Wiślicę średniowieczną; znaczenia trzech pozostałych nie umiemy jednak wyjaśnić. Mury odkryto pod drogą obok kolegiaty. Załączam szkice zrobione osobiście.

NIECODZIENNI MECENASI

Wkrótce też wokół kolegiaty i we wnętrzu świątyni rozpoczęły się prace wykopaliskowe, wymagające ogromnych nakładów finansowych. Przedstawiciele dwóch katedr, Archeologii Pierwotnej i Wczesnośredniowiecznej Uniwersytetu Warszawskiego oraz Historii Architektury i Sztuki Politechniki Warszawskiej, przybyli do Wiślicy. Bez groźby. Warto więc przy okazji ujawnić opinię publicznej szczytów, a niezwykłych mecenasów tego, jakże ważnego dla naszej wiedzy o wczesnej historii Polski, przedsięwzięcia. Niech inni uczą się na tym przykładzie. A więc najpierw niebogata Gromadzka Rada Narodowa w Wiślicy wyasygnowała 10 tysięcy złotych. Potem Powiatowa Rada Narodowa w Busku dołożyła od siebie 10 tysięcy zł. A potem to już pieniądze „posypały się” jak z rogu obfitości. Miejska Rada Narodowa w Busku wyasygnowała 10 tysięcy, konserwator wojewódzki z Kielc ponad 250 tysięcy i znowu Powiatowa Rada w Busku 250 tysięcy złotych, powołując równocześnie Specjalną Komisję Społeczną do Opiek nad Badaniem w Wiślicy. Z taką gotówką i przy takiej opiece mogli archeologowie pracować spokojnie w ciągu dwóch lat. Rektory obu uczelni — Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej powołali Międzyuczelniany Zespół do Badań nad Polskim Średniowieczem, na czele którego stanął prof. Uniwersytetu Warszawskiego — dr Włodzimierz Antoniewicz. Za proszono do tego zespołu najwybitniejszych polskich uczonych Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej: prof. dr Aleksandra Gieysztorę, prof. dr Michała Walickiego, doc. dr Zofię

Wartałowską, prof. dr Piotra Biegańskiego, prof. dr Jana Zachwatowicza, prof. Jerzego Teligę (konstruktora stropu w kolegiacie) po czym ekspedycja wykopaliskowa złożona z młodych archeologów oraz historyków sztuki i architektury pod kierunkiem docenta dr Zofii Wartałowskiej przystąpiła energicznie do pracy.

MATKA BOSKA PŁACZE

Ale nie od razu poszło wszystko gładko, bo przecież w Wiślicy mieszkają ludzie. A ci ludzie (oczywiście nie wszyscy), kiedy zobaczyli, że w ich kościele

więc Wiślanie przestali protestować. Ich miasteczko — wieś zyskało przecież na ważności. I już żyją nadzieją, że po zakończeniu prac wykopaliskowych, nie tylko kościół ale i miasteczko zostanie odnowione. Znikną może wtedy rudery szpecące uliczki, kury nie będą rozgrzebywać gnojowisk przed oknami, a prosiaki przestaną baraszkować po rynku. Pogodziła się z archeologami także Matka Boska i przestała już ronić łzy na obrazach.

TAJEMNICZA KRYPTA

Wracamy jednak do badań archeologicznych, na

wieżowej fasady zachodniej) wskazywały na to, że prof. Szyszko Bohusz miał istotnie do czynienia z nieznanymi jeszcze archeologom murami romańskimi. Idąc po jego śladzie natychmiast wykonano wykopy i okazało się, że mury które profesor zaznaczył na swych rysunkach, są murem „tajemniczej krypty”, o której pisał kronikarz Długosz.

INŻYNIER MRÓWKA MIAŁ SZCZĘŚCIE

Jak to się stało, że profesor Szyszko Bohusz natrafiwszy

MILENIUM O STO LAT ZA PÓŹNO

rozbiera się ołtarze, kiedy usłyszeli stukot młotów rozbijających posadzkę zajęli wobec naukowców postawę wroga. Przychodzili do księdza, przychodzili do Domu Długosza, w którym kwatrują archeologowie.

— Odejdźcie stąd po dobroci! Zostawcie kościół w spokoju! Matka Boska na obrazach płacze!

Matka Boska płakała dość długo, prawie przez pół roku 1958. Ksiądz dosyć długo musiał wzywać z ambony wiernych do rozumu: „skoro kuria biskupia nie sprzeciwia się, widać nie takie grzeszne to rozkopywanie kościoła...”. Nauczyciel Stefan Marzec, ten sam, który naprowadził archeologów na ślad wykopalisk, też okropnie dużo czasu mitręzył, by przekonać nieufnych, a może i zacofanych Wiślan. Naukowcy tymczasem z całym samozaparciem kopali, wygłaszali odczyty o historycznym znaczeniu Wiślicy, kukali i pukali w województwie, by znalazły się fundusze na budowę drogi z Wiślicy do Buska. A droga była, pożałujcie Boga. Ledwo przejechać można było przez nie, bo konie tonęły w bajorach. O jeździe autem nie mogło być mowy...

Teraz droga jest już wysypana kamieniem, a o wykopaliskach mówi się prawie w całej Polsce,



Wiślica, kolegiata, dekoracja posadzki krypty romańskiej (XII) odkrytej częściowo w 1959 r.

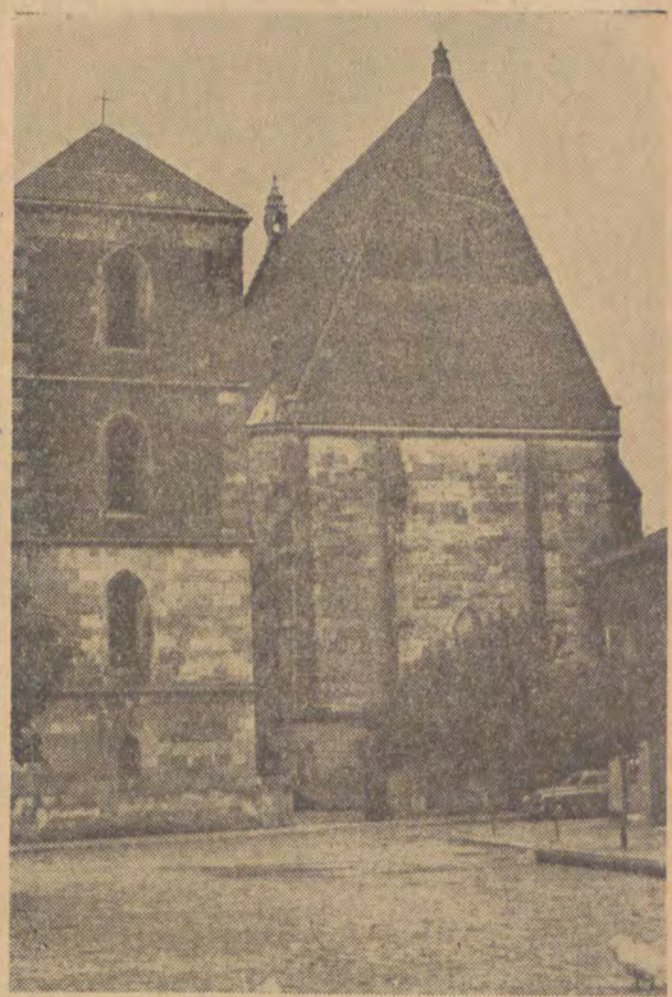
wyniki których czeka cały polski świat naukowy. Zaczniemy od kolegiaty. Wiedziano, że na miejscu obecnego kościoła gotyckiego wzniesionego przez Kazimierza Wielkiego, stał ongiś kościół romański. Wspomina kronikarz Długosz, fundator w Wiślicy Domu Długosza i dzwonnicy, że na tym miejscu „był ciasny i mroczny kościół budowany z kamienia ciosowego, w stylu grecorum more”, co oznacza styl grecki, romański. Długosz również wspomina, że kościół ten posiadał kryptę podziemną, w której ukrywał się w czasie walk z Czechami król Łokietek.

Jednakże relacje Długosza wydawały się naukowcom „podejrzane”. Kościół Wiślicki, a tym samym i ów „ciasny i mroczny” był już w XI wieku kolegiatą. A jak wiadomo kolegiaty w swym wyposażeniu architektonicznym krypt nie posiadały. I znowu w rozwiązaniu zagadki „tajemniczej krypty” pomógł przypadek. Oprawdzający nas po kolegiacie sekretarz naukowy Zespołu do Badań nad Polskim Średniowieczem, mgr Andrzej Tomaszewski wyjaśnia, że tuż przed rozpoczęciem wykopalisk w kolegiacie, natrafiono na materiały pochodzące z okresu po pierwszej wojnie światowej, a zebrane przez krakowskiego architekta prof. Szyszko Bohusza. Profesor ten rekonstruował po tamtej wojnie zniszczoną kolegiatę wiślicką. I oto w nieopublikowanych rysunkach Szyszko Bohusza zachowały się szkice, a na nich ołówkiem naniesione pewne cyfry, wymiary. Te właśnie dane, odpowiadające wymiarom innych murów romańskich na terenie kolegiaty (m. in. murem dwu-

na mury krypty, nie dokonał w owym czasie (pamiętajmy, że rekonstruował kolegiatę zaraz po pierwszej wojnie światowej), obecnego rewelacyjnego odkrycia, jakim jest płyta posadzkowa krypty? (Patrz rysunek, który jest jej idealną kopią — przyp. aut.). Ano, po prostu. Prace rekonstrukcyjne zakończył tuż przed płytą i już do niej nie dotarł. „Zostawił ją na czasy Milenium” — żartują naukowcy współcześni.

Natomiast wielkie szczęście odkrycia płyty posadzkowej „tajemniczej” krypty miał inżynier Tadeusz Mrówka z zespołem pracującym we wnętrzu kolegiaty. A jest to odkrycie wielkiej wagi. Posadzka romańskiej kolegiaty przedkaszimierzowskiej, zdobna pięknym czarnym rysunkiem sakralnym, to jedno z najwspanialszych tego rodzaju arcydzieł wczesnego średniowiecza. I chociaż taka posadzka gipsowa jest na razie w Polsce unikatem, to przecież świadczy niezbicie o bujnym rozkwicie sztuki w Polsce wczesnych Piastów, niezbicie dowodzi, że nasz kraj ledwie na progu swej historii już tworzył dzieła sztuki dorównujące Zachodowi.

Dotychczas w Europie udało się zaledwie raz jeden dokonać odkrycia, zresztą w małym fragmencie, XII-wiecznej romańskiej posadzki kościelnej, wykonanej z gipsu jastrychowego. Wiślicka jest drugim „egzemplarzem”. Czy analogicznym do tej, której znajduje się w klasztorze w Górach Harcu? Trudno o tym powiedzieć już dzisiaj. Spodziewamy się raczej rzeczy nieoczekiwanych. Wiślicką płytę posadzkową odkry-



Kolegiata w Wiślicy. Dzwonnica została wzniesiona sumptem Długosza

to dopiero w połowie. Nad odsłanianiem części drugiej trwają prace. Być może odsłonięte postaci, której dopiero maleńki fragment stóp obecnie jest widoczny u góry posadzki, a do której modlą się trzy widoczne już postacie, wyjaśni wiele nasuwających się hipotez. Najbliższe dni przyniosą rozwiązanie tej zagadki. W każdym razie już w tej chwili można powiedzieć jedno: odkrycie jest rewelacją na miarę nie tylko krajową.

CZY JESTEŚMY STARSZY O STO LAT?

Na zewnątrz kolegiaty, w głębi wykopu widnieją fundamenty niewielkiej świątyni. To o tych murach pisał do Warszawy nauczyciel Stefan Marzec.

Odkrycie tego niewielkiego kościoła wczesnoromańskiego zelektryzowało archeologów. W jego wnętrzu natrafiono bowiem na misę uformowaną z brył gipsowych o średnicy około czterech i pół metra, a w jej bliskości na cementarzysko chrześcijańskie. Nie byłoby to odkrycie aż tak pasjonujące, ponieważ taka misa, określana jako misa chrześcijańska, znajduje się także w Poznaniu, gdyby nie fakt, że natrafiono na nią w warstwie kulturowej najstarszej na terenie Wiślicy, określonej na podstawie niewielkich fragmentów przedmiotów ceramicznych jako pochodząca z IX wieku. Jest to oczywiście teza czysto robocza i jeszcze dyskusyjna, ale już sama w sobie sensacyjna. Archeolodzy, pracujący w Wiślicy, mówią: Nie ulega wątpliwości, że odkryta w kościele wczesnoromańskim z X lub XI wieku, miała misa przeznaczenie kultowe, była związana z jakimś obrzędem chrześcijańskim, gdyż na to wskazuje bliskość cementarzyska chrześcijańskiego. Gdyby więc przyjąć datowanie misy na wiek IX, można by mówić o państwie Wiślan, do którego za pośrednictwem świętego Metodziego mogła dotrzeć religia katolicka w obrządku słowiańskim. I jeszcze jedno: zwykłe misa tego rodzaju znajdowała się w stolicy państwa.

Paweł Jasienica w swej książce „Polska Piastów” pisze: W IX wieku albo na początku X jakiś chrześcijański duchowny napisał „Żywot świętego Metodziego”, sławnego apostoła Słowian, który wspólnie z bratem Cyrylem działał na południu od Karpat. Możemy tam prze-

czytać: „Miał Metody dar proroczy i wiele sprawdziło się z jego przepowiedni, z których tylko jedna lub dwie tu wymienimy. Pogański książę, potężny bardzo, siedzący w Wiślech, urągając chrześcijanom i szkody im wyrządzał. Posławszy więc do niego kazał mu Metody powiedzieć: Dobrze by było, synu, abys się dał ochrzcić dobrowolnie na swojej ziemi, bo inaczej będziesz w niewole więzity i zmuszony przyjąć chrzest na ziemi cudzej. Wspomnij moje słowo”. Tak też się stało”. I dalej Paweł Jasienica stwierdza: My dzisiaj niewiele, niestety, wiemy o najdawniejszych dziejach politycznych naszego kraju... Szczyt potęgi państwa Wiślan przypadał zapewne na sam początek IX wieku. Około 880 roku zza Karpat spadła na nie katastrofa. Światopełk, wojowniczy władca słowiańskiego państwa wielkomorawskiego, podbił kraj Wiślan, ochrzcił jego lud i wziął w niewolę księcia. W dwadzieścia sześć lat później... Wiślanie odzyskali wolność, wrócili pewnie do dawnej wiary, ale nigdy nie odbudowali swej poprzedniej świetności.

To wiemy na pewno. „Jednego tylko nie wiemy o Wiślanach” — stwierdza historyk. — „Gdzie leżała ich stolica”.

Słowa te były pisane oczywiście przed dokonaniem ostatecznych odkryć w Wiślicy. A tymczasem, kto wie, czy wykopaliska w Wiślicy nie dostarczą nam tak dawno poszukiwanego dowodu, iż to właśnie w Wiślicy mieściła się stolica na wprost legendarnego państwa, że tu dotarło na sto lat wcześniej — przed historycznie przyjętą datą chrztu Polski — chrześcijaństwo.

Jeżeli „teza robocza” pani docent dr Zofii Wartałowskiej popra dalsze odkrycia, a należyc się tego spodziewać, to jasne się stanie, iż obchody Milenium naszej ojczyzny urządzamy o sto lat za późno.

TADEUSZ SZEWERA

ZDJECIA: Waclaw Biłiński i Archiwum Ekspedycji Wykopaliskowej Zespołu do Badań nad Polskim Średniowieczem w Wiślicy.



Widok z Psiej Góry na Grodzisko w Wiślicy. Kto wie czy ten gród nie był wojennym centrum dawnego państwa Wiślan

Dalszy ciąg ze str. 1

Jeżeli będziesz zmęczony, możesz usiąść na ławeczce, stojącej tu na tej pełnej zwiru alei młodego parku. To najwyższy punkt terenu, na którym jest położona Łódź. Sfalowana równina zmlerwia się tutaj, wataje świerkami, jarzębiną, różnymi krzewami. Rośnie młody park. Rośnie młoda dzielnica Stoki, brat Widzewa. Park jest najbardziej nierówny spośród ghyba wszystkich parków w Łodzi. I najmłodszy. Jeszcze kilkanaście lat temu wielkie wyrwy w ziemi złożyły się tu, ślad wywołano piasek na pobliskie budowle, ryto we wnętrznościach wzgórz, spiącego ciężkim i mokrym żwirzem. Tu były chłopcze „przepaście”, tu były urwiska, latem można było skakać w dół, wdrapywać się pod górę, chwycić za włosy traw, i czasem skiba trawy urywała się i leciała w dół z piaskiem w ustach, w nosie, w uszach.

Ale to było chyba bardzo dawno. Nowi mieszkańcy Stoków nie mają w oczach tego odcinka tak, jak on wyglądał kilkanaście lat temu.

Jeżeli będziesz tak stał i patrzył na Łódź, to nagle zagrzechoce wokół ciebie dzieciarnia z pięknego budynku szkoły podstawowej. Ta szkoła to osiągnięcie ostatnich lat. Jeszcze nie tak dawno dzieciaki ze Stoków szły na Sikawę, aby tam gnieździć się w smrodliwych izbach ciasnego drewniaka.

Szkoła początkowo nie była otynkowana, nie miała swego dziedzińca. Krowy podmiejskich gospodarzy ocierały się o mur czerwony, kiedy w upalne dni roje much wciśniętych im się pod skórę. Teraz szkoła ma piękne boisko, ogrodzone siatką. Dzieciaki, te najmłodsze, nie bawią się w piaskach urwisk, ale mniej romantycznie na huśtawkach, na desce śliskiej.

II

Przed tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewięć latem Stoki były izolowane od miasta. Były terenem folwarku pana Wojciechowskiego, który stopniowo sprzedawał ziemię. W ten sposób powstawało małe miasteczko, drewniane i chwiejne. Kiedy nadchodził silny wiatr, mieszkańcy uchylali dymnik i wnosili cegły na dach, przykrywali nim papę „aby dachu im nie zerwało”. Do pracy do Widzewskiej Manufaktury, do Niciarki, trzeba było iść przez pola. Ludzie szli grupami, kobiety zwolowały się, pukając do okien mi-

dzy nocą a brzaskiem. Jesienią, kiedy nadchodziły deszcze, łaki podmokłe wciągały buty, glina była oślizgła i niebezpieczna, można było złamać nogę, w najlepszym razie utylić się porządnie w błocie. Przemokniętym do koszu niełatwo było potem suszyć się przy maszynie.

Ludzie ciągnęli tu jednak, wierząc, że ta dzielnica ma przyszłość, a przede wszystkim dlatego, żeby sobie tu kupić tańszą niż gdzie indziej działkę, placyk i wybudować kawałek domku drewnianego, najczęściej bez planu architekta. Ludzie nie mieli często pieniędzy na wykończenie mieszkań. Z reguły drewniaki były nieoszalowane.

Lek przed „eksmisją” gnał tu ludzi z miasta. A przy tym jakieś drzewka sa-

ZNASZ – li ten KRAJ?

dzili, to wiśnie, to jabłoni, to śliwy, jakieś warzywa siali, bo dobrze mieć własną pietruszkę na „pietruszkę”, to jest na zupełną wodniśta, zabarwiona masłem lub słoniną, z grzybkami.

Stoki przed wojną nie miały sklepów. Kupno świeżego chleba stawało się problemem. Chodzono do sklepu koło cegielni lub na Sikawę. Były dwie piekarnie na całą dzielnicę, a właściwie na całą krzepnącą powoli pół-wieś.

Tramwaj na Stokach — to brzmiało wówczas w ich uszach jak fantazja. Trudno było sobie wyobrazić, jak kiedyś do tego dojdzie. Kto mógłby się spodziewać, że linia tramwajowa będzie przeciągana przez dawne tereny dworu i literalnie przebiegać będzie przez teren dawnych czworaków, jakby rozłupując je symbolicznie. Dzielnicę w ciągu ostatnich piętnastu lat zrastała się z miastem w jedno żywe ciało ekonomiczne i socjologiczne.

III

Kauczukowy wałek powielacza ręcznego, matryca, która brudziła i zamazywała litery kaligrafowane tuszem — to ich łączyło. Wiktor wpadł na to, czytając gdzieś

o lewicowym ruchu antyhitlerowskim. Pisali ulotki niezbyt poprawną niemiecką, zaadresowane do rodzin poległych na frontach żołnierzy niemieckich. Siali nastroje „defetystyczne”, jak mawiał Wiktor, który wycinał z „Litzmannstaedter Zeitung” nekrologi, zbierał nazwiska i adresy, i rodziny te otrzymywały pocztą ich wezwania do bojkotu reżimu Hitlera. Niektórzy Niemcy palili je milcząco, inni dawali zaufanym sąsiadom pokazywali tym, którzy różnili się od sfanatyzowanej masy i coraz więcej było takich, którzy podążali za wezwaniami. Wiktor stemplował ulotki trzema literami KPD, a potem SPD. Mówił, że w ten sposób można stworzyć świetnie pozory działalności nielegalnej niemieckiej partii komunistycznej. Byli tacy, którzy przekazywali te odezwy dalej systemem łańcuchowym. Któregoś dnia w „Litzmann-

staedter Zeitung” ukazał się artykuł pt. „Kettenbriefe”. W domu ojca Wiktor zbiegli się różni ludzie. O jednym z nich Wiktor opowiadał, że był łącznikiem. Któregoś dnia ojciec Wiktor nakrył ich przy hektografowaniu, długo tłumaczył, czym to grozi. Zabrał hektograf ze sobą i poszli za miasto, na Stoki, tam, gdzie na lekko sfalowanej równinie nasadzone były niefortunne domy jak stodoły. Niemcy budowali tu osiedle, próbując żywcem przenieść styl bawarskich miasteczek. Część osiedla była już zamieszkała przez urzędników z „Reichu”, ale kilkanaście domów świeciło pustkami. Zatrzymali się przed jednym, nieotylnym, założono tu schody i okna, ale nie było drzwi, ściany nieotylnowane, tu zawieszono roboty na jakiś czas, Wiktor wybiegł po cegły, deski, zrobili z tego stół i można tu było spędzić jakiś czas. Wyjął fotografie Hitlera z kieszeni, postawił ją na tym stole i powiedział: „Możesz patrzeć dowoli, patrz, jak pracujemy”. Wyjeżdżał tuz, papier, matryce, Wiktor starannie kaligrafował antyhitlerowską odezwę, suszył, odbijał, wyglądając przez okno od czasu do czasu, aby ich nikt nie załkoczył.

Podnieceni, otuleni pustkowiem, okryci głuchymi, niewykończonymi domami, w których nagle urywały się schody, szeleściły stopy wiórów, chroboty kawałki cegły pod butami, czytali świeżo odbite ulotki, a na dworze błędził zachód słońca i trzeba było się zbierać i nie pogubić, nie zostawić za sobą na zaimprowizowanym stole i schować hektograf w piwnicy pod blokiem równo ułożonych cegieł.

Taka to była ich niedojrzała konspiracja, ale sprawna i nie całkiem próżna. Potem, zanim zmierzch nie zagościł na dobre, oglądali jeszcze ten dom, błędząc po korytarzach, przechodząc nad piętrami po kładce wąskiej deski opartej z dwóch stron o progi jeszcze bez podłóg listew. I mieszała się w nich nienawidź do okupanta z gwałtowną chęcią przygody, robinsonady. Lubili ten dom, niedokończony, schnący, ten wiatr szepczący w umarłych piwnicach i strychach.

IV

Dorożkarz K. miał mądrą szkapę, sama go prowadziła do domu, kiedy K. kiwał się pijany na koźle. K. szedł w nocy do gospodarzów, aby mu sprzedać trochę siana dla głodnego konia.



ja „pracownicze ogródki działkowe” i widać prymitywne budy pomalowane na zielono w głębi rozplantowanych starannie ścieżek. Tramwaj miją most i płynie wśród pól.

Jeżeli będzie to jesień, usłyszysz wołanie wron wśród wietrznych przestrzeni, wrony rozsypują się, wznoszą, poddają się wiatrom, czasem zasługują nieruchomo.

Zimą możesz spotkać wrony opuszczone i głodne na głodkiej szybie zlodowaciałego śniegu, wyciągnąć po nie rękę i nie uciekną. Zoba jętniale i zamarle nie odbiją się na swoich sprężynowych nóżkach i nie wyprostują skrzydeł. Ktoś pewnej zimy podczas zademki zabrał taką wronę do mieszkania, oddechował ją, ogrzał i wypuścił. Podobno było przy tym dużo zabawy.

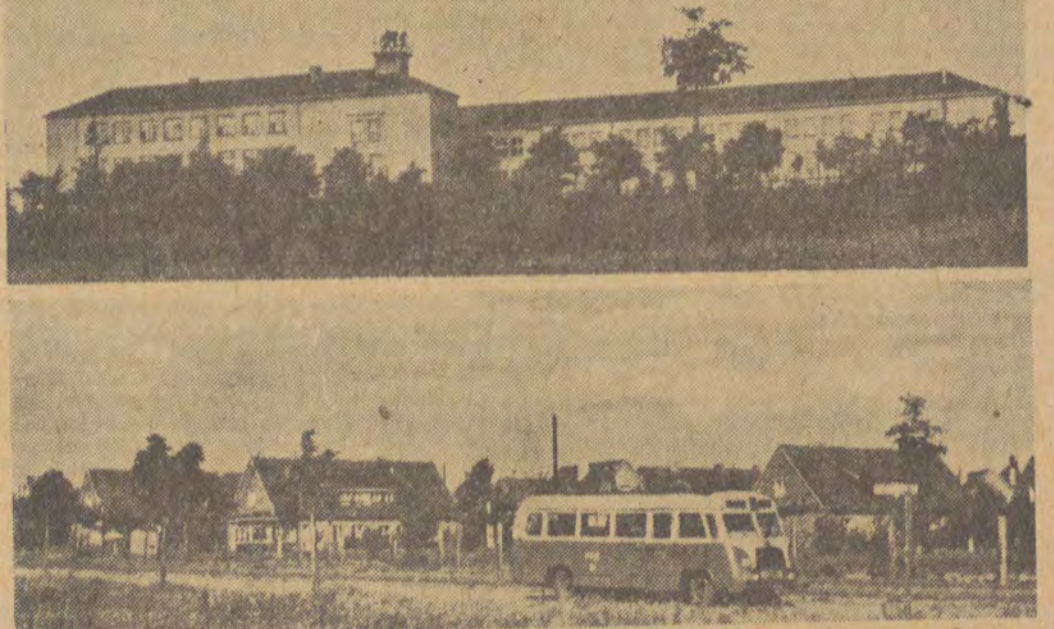
Zima to najokrutniejsza pora dla Stoków. Zawiewa ulice, szosę i drogi i wówczas pasażerowie autobusu muszą pchać zgrabiłymi palcami tę całą budę na kółkach. Łaki podmokłe przy cegielni tworzą lodowisko dla łyżew i sztabek cichych zelówek. Linia tram-

S. przed wojną był biuletorem w kinie „Mimosa”. S. nie miał jednej ręki, która stracił w 1905 roku, potem go wywieźli carscy na Sybir, inni tam robili dyplomy naukowe, ale on nie miał głowy do nauki, wrócił nieuczony i druga Rzeczpospolita tak zabezpieczyła go przed bezrobociem. Po-tem S. na kawałkach nieużytków stokowskich pasał kozy. Na strychu, zmieszane ze słomą, starymi buciorami, butelkami leżały „Kroniki Rewolucyjne”, organ Związku Bojowników o Wolność i Socjalizm. Kilka roczników, z lat 1930—1938. S. na polach podśpiewywał czasem:

„Wypijom za tawo, kto brusilowa ubil”.

dzi, robotników i inteligentów. Znamienne: na Stokach nie ma knajp, ani restauracji, ale również nie ma kina. Jest czyste, prawie górskie powietrze.

Na wzgórzach za szkołą stoją bloki „kolejarskie”, najstarsze bloki na Stokach, bo przedwojenne. Uliczki wzdłuż jak dla przedszkolaków, mieszkanka małeńkie, ale bardzo przyjemne, pokoiki na pięterku łączone schodami. Na przykład pokój jadalny na dole, sypialnia na pięterku. Tu, w tych blokach mieszkał zmarły niedawno Władysław Pawlak, autor głośnej przed wojną książki pt. „Kamienica wielkiego miasta”, nagrodzonej i czytanej w radiu, Książka, nie wznawiana



Kozy wspinały się na tylne nóżki, przednimi opierały się o drzewko dzikiej gruszy i skubały listki.

Było tu gdzieś paść, a taka koza to wszędzie wejdzie. Oto prostytutka z trojgiem dzieci. Każde od innego ojca. Zajeżdżają tu taksówki w ciągu całego dnia. Prosperuje. Kiedy „goście” są w domu, matka przepędza dzieci do ogródka, na uliczkę, żeby nie widziały. Maluchy jednak uparcie podkrajają się i zagładają do okna. Z najstarszą córeczką, która jest w siódmej klasie, nauczyciele mają trochę kłopotu. Używa czasem zbyt dojrzałego języka, zbyt soczystego słownictwa. Niedawno „zaprosiła się” do taksówki jakiegoś szofera. Przewiózł ją kawałek i koczowało go to dwa lata więzienia za uwiedzenie nieletniej.

Ale to są wyjątki. Dzielnicę jest spokojna i mieszka tu wielu wartościowych lu-

di, zamknięta jest dla młodego pokolenia.

Widywałem tu kiedyś na najwyższym wzniesieniu Łodzi malarza i teoretyka sztuki Władysława Strzebińskiego, na trawie, niskiej i suchej, w towarzystwie kobiety z jasnorudymi włosami. Patrzył na miasto i szkiełował coś w notatniku. Widocznie lubił tę perspektywę.

V

Przyszły monografista tej dzielnicy powinien pamiętać, że w sąsiedniej Sikawie drukowano „Gwardziste” w czasie okupacji. Świadczyłyby to na rzecz współistnienia w tej dzielnicy od dawna, różnych form świadomości. A dzisiaj z tym, co nazywamy świadomością, jest różnie wśród zróżnicowanego przecięt środowiska.

Kiedy ulica Nowotki się kończy, „siedemnastka” mi-

wajowa bywa zasypana. Ale na tym polega uroda tej dzielnicy, że czasem odcina się od miasta. Kiedy zademki opadną — idą w ruch saneczki i narty. W parku im. J. Krasickiego jest piękna sanna.

Kiedy wiosenne roztopy dokuczają porządnie mieszkańcom. Teraz na błotniste ścieżki nawieziono wszędzie dużo szlaki, która izoluje podeszwy od błota.

Socjolog znalazłby tu ciekawe wyniki spotkania cywilizacji wsi i miasta. Chłop tej dzielnicy jest na ogół zasobny. Jego wóz ma z reguły gumowe koła. Poma-gał przy budowie osiedla im. Marchlewskiego, które wzniesione jest daleko pod Mileszki.

Na osiedlu Marchlewskiego mieszkańcy hodują kwiaty i różowe dzieci. Dzieci, dzieci sa kwiatami Stoków.

JERZY WALEŃCZYK
ZDJĘCIA: W. BILANSKI



HEMINGWAY

Towar
ryby

Portier hotelowy zawiadomił mnie, że Hemingway będzie telefonował do mnie jutro o godzinie 12 minut 30. Nazajutrz, punktualnie o pół do pierwszej, usłyszałem w słuchawce znajomy głos: — Już myślałem, że nie uda się nam pojechać na ryby — mówił Hemingway. — Taki niespodziewany sztor. Ale teraz, zdaje się, wszystko w porządku. Oczekuję pana o godzinie drugiej trzydzieści. Dobrze? Moja łódź stoi w klubie Tarara; dwadzieścia pięć mil od Hawany. Ma pan czym przyjechać?

Hemingway wysiadł z auta w krótkich szortach, w szarym wełnianym swetrze, nalożonym na gołe ciało i w płóciennej dzioke z długim daszkiem.

Łódź pisarza jest niedużą motorówką, pomalowaną na zielono i brązowo. Na rufie — duże, drewniane, obracające się krzesło, przysrubowane do pokładu, z oparciem dla nóg, gdy trzeba ciągnąć dużą rybę. Z pokładu, gdzie gospodarzy mechanik Hemingwaya, Gregory — starszawy, szczupły Kubańczyk — kilka schodków w dół prowadzi do kabiny z czterema łózkami. Gregory zapuszcza motor. Łódź wolno sunie po sennej, nieruchomej, wodzie zatoki do wąskiego gardziółka-wyjscia. W dali widać ocean.

— Widzi pan ten jasny pas, a potem od razu ciemny, prawie fioletowy? To Golfstrom — objaśnia Hemingway. — Płynie tu niedaleko.

Hemingway stoi, rozstawia szeroko białe nogi. Stare, zniszczone sandały leżą na pokładzie razem ze swetrem i nareczem kurtki, które przywiózł ze sobą w aucie.

Tymczasem Gregory nadział przynętę i rzucił kilka linek. Po jednej z każdego z dwóch drągów, sterujących z obu burt i dwie ze spinningów, przymocowanych na rufie.

Płyniemy wzdłuż wybrzeża na wschód od Tarary. Nagle z dołu słychać głos Gregory'ego.

— Ojcz., ryba...

Hemingway wypuścił ster, jak gdyby po kole przeszedł prąd elektryczny i rzucił się ku rufie.

Łódź stanęła. Teraz Hemingway zabiera się do ostrożnego wyciągania zdobyczy. Dwa pociągnięcia całym wędziskiem, kilka wolnych obrotów szpulki, po tem ostatni wysilek, i nad wodą ukazuje się duża, około dziesięciofuntowa ryba. Gregory chwytą ją i rzuca do skrzynki na rufie.

Twarz Hemingwaya jasnieje dziecięcym zachwytem. Nachyla się, aby przyrzuć się zdobycy i śmieje się, zapominając o wszyst-

kim; wykrzykuje coś po hiszpańsku i w końcu przesyła rybce pocałunek.

— Henry — mówi do mnie — to początek! Druga ryba będzie pana. Teraz wie pan, jak trzeba ciągnąć? Proszę się przygotować, druga pana!

Znowu warczy motor, nierozmowny Gregory zakłada przynętę.

Lap: ryby w tych okolicach od 1924 roku — mówi Hemingway — a osiedliłem się tu w trzydziestym dwuleciu. Kupiłem dom oo powrocie z Hiszpanii.

— Słyszałem, że pan zamierza pisać scenariusz filmowy o rewolucji na Kubie. A Harry Cooper ma grać główną rolę?

— Nic o tym nie słyszałem — śmieje się Hemingway. — To nieprawda. Niech pan nie wierzy nigdy temu, co piszą o mnie w gazetach.

— Ale pan wybiera się do Związku Radzieckiego?

— Zawsze się tam wybieralem. Tylko jakoś nie z tego nie wychodziło. Praca nie pozwala. Przyjadę jednak przy pierwszej sposobności.

— W tym roku?

— Nie, w tym roku chyba nie. Kiedy się ma powyżej sześćdziesiątki, a nie wykonanych planów jest jeszcze sporo, człowiek powinien liczyć każdy dzień. Ten rok mam już cały rozplanowany. Być może w przyszłym roku.

— A jakie pan ma plany na teraz?

— Pracuję obecnie nad powieścią o hiszpańskich corridach. To będzie niezła książka. Do końca marca muszę ją ukończyć. Oprócz tego leży u mnie powieść o Paryżu lat dwudziestych. Powieść o młodym pisarzu, który dopiero rozpoczyna życie. Muszę ją wreszcie przejrzeć i wygładzić. Możliwe, że na jesieni będzie już wydrukowana.

— Czytałem w amerykańskich dziennikach, że o wypadku, który pan opisuje w „Starym człowieku i morzu“, dowiedział się pan z gazet. Było tam również zdjęcie tego starego człowieka, który posłużył panu jako prototyp.

Hemingway energicznie zaprzecza.

— Nigdy w żadnym ze swych utworów nie opierałem się na informacjach z dzienników. Wypadek opisany zdarzył się bardzo dawno temu, niedaleko stąd; o, w tamtej wiosce rybak



kiej, Kochimarze. Tam teraz znajduje się dom Fidela Castro.

— A kto posłużył panu jako wzór?

— Wcale nie ten człowiek, którego zdjęcie było w dziennikach. Ja tego również znam. Rybak z niego do niczego. Jak mógłbym o nim pisać, jeśli on nie umie łapać ryb! Rzeczywistym prototypem był mój mechanik, który służył u mnie przed Gregorym i z którym łapałem ryby przez dwadzieścia lat. A sama historia wydarzyła się innym rybakom z Kochimary.

„Drugiej ryby wciąż nie było. Gregory siedział na dole i nudząc się, patrzył na wodę. Ocean był pusty. To zaniepokoiło Hemingwaya; zaczął poważnie wpatrywać się w pasistą wodę oceanu.

— Nie widać ptaków — powiedział zmartwiony. Milczeliśmy chwilę i nagle spostrzegliśmy ptaka.

— Pracuje, patrzcie, pracuje! — powiedział a Hemingway ożywiony i od razu zwrócił dziób łodzi w tę stronę, gdzie polował ptak. Ptak zatrzepotał skrzydłami i do połowy zanurzył się w wodę. Hemingway wyciągnął szyję i śledził z zacięciem morskiego drapieżnika.

— Nie udało się b'edakowi — powiedział, gdy ptak

wzniósł się nad falą bez zdobyć w dziobie.

Dopłynęliśmy do miejsca, nad którym krążył ptak. Podmuchał wiatru wyrwał z mego notatnika kartkę i wyrzucił ją za burtę.

— To coś ważnego? — zapytał Hemingway.

— Nie. Po prostu zakładka. Nie korzysta pan z notatnika, gdy pan zbiera materiał? — zapytałem.

— Nie. W ogóle co to znaczy „zbierać materiał“? — Zbiera się go każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty. Pisarzowi nie wolno być turystą w życiu. Musi brać w nim udział, musi wycierpieć i odczuć to, o czym pisze. Często mnie pytają, na czym polega tajemnica twórczości. W twórczości nie ma nic tajemniczego. Czy jest jakaś tajemnica w bizantyjskiej budowlu kamiennej? Czy w tamtych czasach była jakakolwiek tajemnicza zaprawa wiążąca kamienie? Nie. Tajemnicy nie było, był tylko ludzki trud. Ludzie nie widzą tego trudu. Widzą tylko rezultat: dobra książka, powodzenie, sława, na pewno kupa pieniędzy.

Podniósł się wiatr. Hemingway podszedł do rufy i coś powiedział do Gregory'ego. Tamten podał nam dwie zamszowe kurtki. He-

(Dokończenie na str. 11)

MARIAN
PIECHAL

SEDNO
RZECZY

TRESURA A WYCHOWANIE

Niektórzy nie odróżniają tresury od wychowania. Niecierpliwi skutków swojej pracy pedagogicznej skłonni są nawet przyznawać pierwszeństwo tresurze. Uważają, że rezultaty tresury są szybsze i trwalsze. Na złożone i długodystansowe metody wychowawcze zbyt mało mają wytrwałości, zwłaszcza, że rezultaty wydają się im zawsze mniej pewne i nierychłe, często zawodne, a więc bezskuteczne.

Jeżeli tresura niczym nie różni się od wychowania, w takim razie szkoła niczym nie różniłaby się od cyrku, a nauczyciel od trenera albo poskramiaacza dzikich zwierząt. W istocie jednak wychowanie od tresury różni się zasadniczo, tak pod względem metod jak też i rezultatów. Najogólniej można powiedzieć, że tresura polega na systemie nakazów i zakazów i związanej z nimi świadomości kar i nagród, zaś wychowanie na świadomości pożytku i szkody w sensie zarówno materialnym, jak i moralnym, i na poczuciu tzw. imponderabiliów, jak godność, ambicja, honor, uczciwość, przyjaźń, uprzejmość itp., krótko mówiąc, tresura polega raczej na rozwijaniu i usprawnianiu odruchów warunkowych, jest więc metodą typowo behawiorystyczną, zaś wychowanie polega na budzeniu i rozwijaniu świadomości sensu i poczucia wartości, odwołując się nie do odruchów, a do woli i rozsądku, do wyobraźni i sumienia, do ambicji i rozumu, jest więc metodą typowo psychoanalityczną.

Jak to — zapyta niejedyn — to każdy z wychowawców jest psychoanalitykiem? Ależ to absurd. Przecież większość z nich nie ma zielonego pojęcia o psychoanalizie, a mimo to niektórzy z nich są doskonałymi wychowawcami? Owszem — odpowiem na to — bo można być doskonałym psychoanalitykiem w praktyce, nie wiedząc wcale o tym. Psychoanaliza zarówno w szkołach, jak i w lecznictwie chorób nerwowych stosowana była bez używania tej nazwy na długo przed pojawieniem się Zygmunta Freuda i znajomości jego teorii, tzw. psychologii głębi. Każdy prawdziwy wychowawca, każdy nauczyciel w istotnym tego słowa znaczeniu, chcąc nie chcąc, zdając sobie sprawę z tego, czy nie, jest psychoanalitykiem, gdyż przed przystąpieniem do wychowywania danej mu grupy uczniów musi dokonać uprzedniej analizy ich duchowych i umysłowych właściwości. Można to czynić świadomie albo odruchowo w trakcie wykładów, lub nauki danej specjalności — ale czynić to trzeba. Jeśli się tego nie czyni, nie jest się dobrym wychowawcą ani nauczycielem, ani nawet skutecznym wykładowcą.

W związku z tym przypomniał mi się pewien osobisty przykład. W drugim roku gimnazjalnym, nozbawiony domu rodzinnego, oddany byłem do tzw. bursy uczniowskiej. Kierownikiem tej bursy i zarazem naszym wychowawcą, zastępującym nam rodziców, był poczciwy z gruntu i o tak najlepszych intencjach człowiek, ale, niestety, jako były oficer legionów, z ówczesnym wódzem wojskowym w głowie. Koszarową metodą, którą on nazywał spartańską, uważał za najlepszą w świecie metodę wychowawczą. Zaprowadził więc w bursie rygor wojskowy. O piątę tresury i wychowania,

Marszałek Foch, zwycięski wódz z nierwej wojny światowej, zaznacza w swoich „Pamiętnikach“, że zawsze więcej cenili oficerów rezerwy o humanistycznym wykształceniu, niż ciasnych i ograniczonych zawodowców, gdyż ci pierwsi byli bardziej rozgarniętymi, a więc odpowiedzialniejszymi żołnierzami. Żołnierzami czynili ich nie dryl, nie tresura, lecz świadomość słusznych wartości, w obronie których walczyli.

Tak więc rola humanistycznej w wychowaniu współczesnego człowieka jest nieczym nie zastąpioną. Politechniczność naszych szkół — jakże słuszną wobec narastających potrzeb życia cywilizacyjnego — w niczym nie umniejsza tej roli. Przeciwnie — świadomość historyczna i poczucie tradycji budzone i rozwijane coraz pełniej muszą być podstawowymi zasadami wychowania narodowego i obywatelskiego, a także silną rzeczą internacjonalistycznego. Bo jakże sobie wyobrazić sensowny wykład o nauczyciela Kopernika, muzyce Chopina, promieniotwórczości Curie-Skłodowskiej, piśarstwie Coprada albo czynach Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego, Jaśrosława Dąbrowskiego i Waleriego Wróblewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego i Juliana Marchlewskiego bez rzetelnej wiedzy o innych narodach i powiązaniu ich dziejów i kultury z dziejami i kulturą własnego narodu, o wzajemnych zależnościach i uwarunkowaniu wielkiej jednostki cywilizacyjnej i kulturalnej całej ludzkości? Tresura dotyczy automataczy robotów, wychowanie żywych ludzi — dlatego przeważnie budują ustrój totalitarny, drugie — uważa za najlepszą w świecie metodę wychowawczą. Zaprowadził więc w bursie rygor wojskowy. O piątę tresury i wychowania,



Zona Ernesta Hemingwaya ze swoją zdobyczą



Wiosna

SZTAUDYNGER

FRASZKI

1 Bronisława

OBYCZAJE GRZYBIARZY

Im pełniejsze kosze grzybów
człowiek niesie
Tym bardziej klnie się,
Ze pustka w lesie.



2 Stefana

SZCZĘŚCIE

Adam i Ewa
I drzewa,

3 Szymona

DOSTATEK

Nigdy nie braknie głuptasów.
Noszących drzewo do lasu.



4 Róży

Zdobyl ją niemowa.
Nie tracił czasu na słowa.

5 Wawrzyńca

LAPANIE OCZEK

Chętnie wybierałbym, o moja miła,
Wszystkie te oczka, któreś ty puściła.

6 Zachariasza

SMUGA CIENIA

Nie bronię serca od słońca promienia,
Choć pozostanie po nim smuga
cienia.

7 Reginy

MALŻEŃSTWO

Miłość nieczysta
Zmienia w wieczystą.

8 Marii

ZAGMATWANIE

Genealogię to gmatwa.
Gdy pani jest zbyt łatwa.

9 Piotra

WYZNANIE BUMELANTA

Czas tracę
na pracę.

10 Mikołaja

SIELANKA

Był las, wrzos i mech.
Powiedziała: „niech”.

11 Jacka

MALŻEŃSTWO

Ten pan: ta pani
Byli na siebie skazani.



19 Konstancji

STARA PRAWDA

Początek życia i życia kras,
Kosztuje zawsze najwięcej łez.

20 Eustachego

GRA W ZIELONE

Drzewa z drzewami grają w zielone,
Aż przyjdzie jesień i wszystko
skończone.

21 Mateusza

SMIERĆ POETY

Gdy nikt już książek jego nie
otwiera,
Wtedy dopiero poeta umiera.

22 Tomasza

I w lustrze prawdy nie ma,
Patrzy na ciebie twoimi oczyma.

23 Tekli

OBAWA

Boję się ci'szy,
Wtedy się własne serce słyszy.

24 Marii

W LESIE

Ostrzegaj ją chór wrzósów,
Každy kowalem - rego losu.

25 Aurelii

NAPIĘTNOWANY

Ze panie od panów wołę,
Mam napisane na czole.



26 Justyny

KOLEJNOŚĆ RZECZY

Wpierw komplementa,
Potem alimenta.

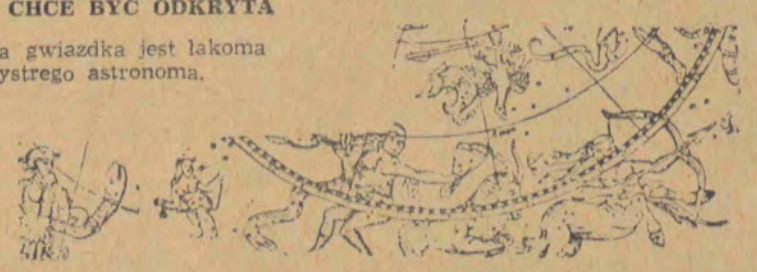
27 Kosmy, Damiana

Tak przewydziam cię, halny
wichrze,
Ze myślę sobie rzeczy najcześnie.

28 Wacława

CHCE BYĆ ODKRYTA

Każda gwiazdka jest łakoma
Na bystrego astronoma.



29 Michała

JESIENIA

Fiołki i poziomki kwitną po raz
wtóry,
Czemuż mnie też gani to niektóry.

30 Zofii

PRZESTROGA

Dając awanse,
Tracisz szansę.

FRASZKI

FRASZKI

ANDRZEJ IZERSKI

WIDZEWSKI KRÓLIK



Gdyby 80 lat temu Lewi Kohn mógł przeczytać to, co tu pisze, byłby niezmiernie zdumiony. Może nie tyle dlatego, że po dziesięcioleciach wspomni się o jego osobie, ile dlatego, że przejdzie do historii, jako ojciec Uszera Kohna.

Dziesięcioletni Uszer zapowiadał się dobrze, to znaczy umiał na pamięć spore partie Talmudu. Ale jego ojciec Lewi był, bądź co bądź, znakomiciejszą. To do niego — ani rabin, ani cadyk, a tylko skromnego tkacza, przyjeżdżali ludzie z odległych nieraz miejscowości, by zasięgnąć porady w życiu wych kłopotach. Słynął był bowiem Lewi Kohn tak z pobożności i niepośledniej talmudycznej wiedzy, jak i niesłychanej mądrości.

Rady Lewiego były podobno znakomite. Dziwne więc, że sobie samemu niewielu dobrych rad zostało udzielić. Uważał, że wszystko: dobro i zło, jakie spotyka człowieka w życiu, z góry postanowione zostało przez Boga. Z jego więc woli spędzał po kilkanaście godzin dziennie przy tkackim, ręcznym warsztacie i z jego też woli cierpiał głód, kiedy interesy ręcznych tkaczy zaczęły wyglądać bardzo kiepsko.

Los chciał, że w życiu staroego Kohna elementem decydującym stała się istota wiele Bogu nie podobna — maszyna parowa. Jej to Lewi zawdzięczał wpraw swą nędzę, a potem dobrobyt.

Kiedy ongiś Kohn opuścił rodzinny Konstantynów i po ślubie osiadł w Łodzi, pracował w manufakturze Niemca, Juliusza Heinzla.

Zakład mieniący się manufakturą, był niewielką szopa. Stało w niej sześć do dziesięciu ręcznych warsztatów tkackich. Praca trwała od świtu do nocy. Kohn zaprzyjaźnił się bardzo ze swoim chlebodawcą. W owych czasach w małych manufakturach panowały stosunki familijno-patriarchalne. Właściciel zazwyczaj sam pracował przy warsztacie, tkaczom zaś powoził się do domu. Byli oni wykwalifikowanymi rzemieślnikami, tkaczem zaś powoził się do domu. Byli oni wykwalifikowanymi rzemieślnikami, tkaczem zaś powoził się do domu. Byli oni wykwalifikowanymi rzemieślnikami, tkaczem zaś powoził się do domu.

Heinzel, którego ręczny warsztat tkacki przez długie lata doskonale prosperował, nagle znalazł się u progu ruiny. W Łodzi zaczęły instalować coraz więcej maszyn parowych. Heinzelowi rzemieślnicy nie byli w stanie konkurować z mechanicznymi krosnami. W przystępie rozpaczy poszedł Heinzel na czele innych tkaczy, by zniszczyć maszynę parową, zainstalowaną właśnie w fabryce Scheiblera na Wodnym Rynku. Ponieważ to nie pomogło jednak jego sytuacji, udał się z prośbą o radę do starego, mądrego przyjaciela — Kohna.

Okazało się, że Lewi Kohn potrafił udzielać również dobrych rad w sprawach, o których Talmud nie wspominał ani słowem. Poradził mianowicie przyjacielowi, by poszedł z prądem czasu. Niebawem Heinzel zadłużywszy się po uszy i wyprzedawszy do ena sprowadził za radą Kohna ze Śląska maszynę parową i wyrzucił precz ręczne krosna.

Po kilkunastu latach stary Heinzel nie potrafił już sam udźwignąć swoich wórow ze

złotem. Kupił sobie tytuł barona i za milion rubli majątek ziemski w Julianowie, do którego jego syn sprzątał na połowianą arystokrację, o ile nie bawił w którymś z zagranicznych kurortów, gdzie spędzał większą część roku.

Ale nim jeszcze to wszystko nastąpiło, w kilka lat po zainstalowaniu maszyny parowej, Heinzel, będąc już człowiekiem zamożnym, postanowił odwiedzić się Lewi Kohnowi, którego radzie tak wiele zawdzięczał. Kohn wówczas nadal pracował jako ręczny tkacz, tyle, że zarobki nie wystarczały już na wet na jedzenie. Bliskiemu głodowej śmierci starcowi Heinzel pomógł założyć mały sklepik włókienniczy — „blawatny” jak to się wtedy mówiło — i oddał mu swoje towary w kom's. Był to okres koniunktury. Bogacieli się nie tylko fabrykanci, ale i kupecy. Niebawem więc Kohn stał się właścicielem piętrowego domku przy ul. Piotrkowskiej 43. Parter mieścił sklep i skład towaru, na pięterku były izby mieszkalne.

Lewi Kohn nie uległ ogólnemu pędowi do bogacenia się. Osiągnąwszy dobrobyt

pięciela dłań posiłki, a zona Uszera cały dzień zajmowała się usługiwaniem świątobliwemu małżonkowi. Niebawem urodziła mu pierwszego syna.

I oto pewnego pięknego dnia Uszer rzucił w kącie święte księgi, przestał zajmować się Bogiem, Talmudem i rabinacką karierą, a przysiadł faldów nad rachunkami. Nie bez wpływu na tę przemianę była podróż, jaką przedsięwziął on do Łodzi. „Zaraził się Łodzią” — kiwał głową Rubin. Było to chyba właściwe określenie.

Łódź przeżywała gorączkę złota. Atmosfera miasta przypominała nawet nieco aurę amerykańskich złotodajnych okęgów z końca ubiegłego wieku. Kryzys lat pięćdziesiątych zrujnował rękodzielniczy przemysł i co mniejsze zakłady zmechanizowane. Spośród starych, bogatych fabrykantów ostali się na rynku tylko niektórzy: Scheibler, Geyer, Peters, Fesler, Prussak, Grohman i Moes. Niebawem wyrosły też nowe potęgi: Heinzel, Eisenbraunen, Schweikert, Bennichen i Krusche.

W latach sześćdziesiątych wartość produkcji łódzkiego przemysłu podwoiła

się... Uszer po raz pierwszy usłyszał o Egipcie nie jako o ojczyźnie faraonów i Mojżesza.

Wróciwszy z Łodzi, Uszer pokłócił się jeszcze kilka dni nad świętymi księgami, jednak już bez dotychczasowego entuzjazmu, wreszcie porzucił je i rozpoczął naukę rachunków i prowadzenia ksiąg handlowych. Mistrzem był mu teść.

Stary Rubin z zadowoleniem przyjął przemianę, jaka zaszła w zięciu. Doszły już do niego słuchy, że w Łodzi, na ulicy, niżej kłaniają się Poznańskiemu, niż cadykowi z Góry Kalwarii.

Jak na przyszłego Poznańskiego, Uszer nie uzyskał u Rubina zbyt starannej, a raczej dostatecznie nowoczesnej edukacji. Niebawem odbiło się to na jego interesach. Bo też Uszer Kohn przedniósł się do Łodzi i na lew na szyję rzucił się w wir interesów.

Wpierw odbył krótką praktykę u inżyniera Likermanna. Ten nauczył go pracy na krosnach tkackich i zakardowych. Po tej edukacji Uszer podjął posag, który ongiś wypłacił mu Rubin, gdy żenił się z jego córką, wyciągnął oszczędności od swego starego ojca i założył warsztat tkacki o kilkudziesięciu krosnach. Miał wtedy lat dziewiętnaście.

Fabryczka istniała przez siedem lat. Przedsięwzięcie skończyło się plajtą. Pierwszą i ostatnią w życiu Kohna. Rzecz jest zresztą oczywista. Było to też pierwsze i ostatnie uczciwe przedsięwzięcie przyszłego właściciela Widzewskiej Manufaktury. Wyczytane w Talmu-

Zasiadł Kohn — junior za urzędniczym pulpitem, ale już niebawem jego myśli krążyły wokół interesów, bynajmniej nie heinzelowo-kunitzerowskich. W Łodzi rozpoczął się nowy, wielki ruch budowlany.

Z pobliskich i odległych wsi wielką falą ciągnęła biedota wiejska, by podjąć pracę w łódzkim przemyśle. Osiedlała ona wprawdzie w zabudkach swych krewnych i znajomych odnajmujących za kopiejką jakiś kątek czy barłóg, potem koczowała nawet pod Łodzią, wegetując w różnych budach i szalaszach. Wysockie czynszu szła w górę. Świeżo upieczeni robotnicy pragnęli ściągnąć do miasta żony i dzieci. Budowa domów dla robotników stawała się złotym interesem.

Pierwsi budowali wielcy fabrykanci. Stawiali oni niewielkie domki. Dopiero niejaki Zynderman podjął budowę wielkich bloków mieszkalnych, aby w ten sposób zaoszczędzić kosztów wykupu gruntów.

Wystawiał on zazwyczaj czteropiętrowe koszary z czerwonej cegły, o małych, ciemnych podwórzach. Na piętrach ciągnęły się długie korytarze, z których prowadził do drzwi do jednoizbowych ciemnych „mieszkań”, zaopatrzone w niewielkie kuchonki. W każdej izbie niebawem gnieździło się od jednej do trzech, czterech rodzin. Lokatorzy wprowadzali się już przed wykończeniem gmachu. Często gramolili się do mieszkań po drabinie. Zynderman inkasował wysokie odstępnę i z miejsca kupo al nowe parcele, gdzie niebawem rosły nowe, obskurne czynszówki.

Uszer Kohn miał tyle spry

wekslami, podżywianym przez swojego pryncypala Heinzla. Robocizna była tania, a szukający pracy w fabrykach robotnicy, szczęśliwi, że mają choćby sezonowe zajęcia, chcąc nie chcąc, godzili się czekać długo na wypłatę.

Niebawem Uszer rozebrał dom ojca przy Piotrkowskiej 43 i postawił tu nową, murowaną czynszówkę. Potem, dysponując już gotówką, szybko wykupił kilka placów wzdłuż Piotrkowskiej. Ceny na ziemię rosły z dnia na dzień. W ciągu ośmiu lat — do roku 1904 Kohn stał się najpoważniejszym przedsiębiorcą budowlanym w Łodzi. Był już człowiekiem zamożnym. Jego roczny dochód wynosił kilkanaście tysięcy rubli.

A właśnie nadchodziły czasy, w których posiadana wolna gotówka mogła przynieść kolosalne zyski. Trwała wojna z Japonią, a wraz z nią wojenna koniunktura. Ceny wyrobów włókienniczych szły w górę. Przemysł pracował na pełnych obrotach. I oto w tym momencie Uszer Kohn zdobył swe rycerskie ostrogi.

Jego stosunki z pryncypalem, czyli z młodym Juliuszem Heinzlem, u którego zaczął pracować jako urzędnik, układały się nie najlepiej. Mimo to wydarzył się fakt, który wiele zdziwił ludzi, orientujących się w stosunkach i stosuneczkach panujących w fabryce Heinzla i Kunitzera. Juliusz uczynił mianowicie Uszera generalnym odbiorcą braków i resztek, wypuszczonych na rynek przez widzewską fabrykę, czyli, odebrał tę koncesję ojcu Uszera — Lewi Kohnowi.

Rola, jaką odegrał tu Uszer, nie była zbyt ładna. Zadenuncjował on swego ojca przed młodym Heinzlem, donosząc, iż papa jest jakoby w znowle z magazynierem, który miast braków i resztek wydaje mu za psie pieniądze dobre towary.

Uszer nie bez kozery podał ojcu nogę i przejął jego interes. Stary Lewi Kohn miał zamiar obdzielić swoją schedą wszystkich trzech synów. Teraz nie miał już czym.

W dziejach życia i „pracy” przyszłego prezesa Widzewskiej Manufaktury i jednego z największych w Polsce potentatów finansowych — ta denuncjacja ojca wydaje się być momentem przełomowym. Uszer, podówczas właściciel kapitału, wynoszącego mniej więcej 200 tysięcy rubli, po raz pierwszy użył chwytu tego rodzaju, chwytu, który później był już właściwy wszystkim jego poczynaniom, przysparzającym mu ogromnej fortuny.

Uszer Kohn ma już więc niezły własny kapitał. Oddał śmiało może już żeglować na wielkie wody.

*) W tym czasie fabryka Heinzla i Kunitzera nie nosiła jeszcze nazwy „Widzewskiej Manufaktury”. Nazwą „Widzewska Manufaktura S.A.” przyjęła ona dopiero w roku 1928. Dla uproszczenia nomenklatury, a także ze względu na obiektywny charakter tej nazwy — autor używa jej u mnie i w odniesieniu do wcześniejszego okresu.

Rozdział 1 PIERWORODNY MĘDRCA LEWI KOHNA

Ani rabin, ani cadyk, tylko tkacz, który udzielał dobrych rad wszystkim z wyjątkiem siebie. — Lewi Kohn radzi Heinzelowi „preprosić” maszynę parową. — Sklep „blawatny” — rewanż za mądrą radę. — Kandydat na rabina poślubia kupeczkę, pannę Rubin. — Co widział Uszer, jadąc bryczką z Tomaszowa do Łodzi? — Uszer traci entuzjazm dla ksiąg świętych. — Pierwsza plajta i ostatnia w życiu niedoszłego rabina. — Stary Heinzel odwiedza się po raz drugi. — Uszer buduje domy przy Piotrkowskiej i podstawią ojcu nogę.

zasiadł na dobre nad świętymi księgami, wiele zadowolony ze swego losu i zobojetniały już na sprawy doczesne. Zdawało się wówczas, że jego pierworodny syn, Uszer, pójdzie w ślady ojca.

Kiedy Uszer miał dziesięć lat, umiał na pamięć większą ilość stron ksiąg świętych, niż współcześni nam dziesięciolatki w ogóle w życiu przeczytali. (Oczywiście, mam tu na myśli księgi zupełnie nie święte). Po trzech latach, w czasie rytualnego święta dojścia do „pełnoletności” trzynastoletni Uszer odczytał licznie zgromadzonym gościom własne tłumaczenia komentarzy do „Księgi Salomona”.

Minęły jeszcze trzy lata. Uszer był już młodzieńcem wielkiej, jak na swoje lata, wiedzy. Miał wygląd świątobliwego ascety. Wszystko wskazywało na to, że zostanie świątym rabinem. Aby ułatwić chłopcu karierę, ojciec ożenił go niebawem z córką zamożnego kupca Rubina z Tomaszowa — Mazowieckiego.

Rubin chętnie oddał rękę córki wykształconemu młodzieńcowi. Tak więc wart był tyle, co pieniądze, przysparzał bowiem swej rodzinie splendoru. Podniesienie się społeczno-towarzystwej pozycji Rubinów sprzyjało łatwemu uzyskiwaniu kredytów.

Uszer zamieszkał w Tomaszowie w domu teścia, a stary kupiec podjął wieloletni trud inwestowania „w ziemia”. Bo też taki kandydat na rabina kosztował tyle, co kraszownik, że sparafrazuje Brechta. Uszer kiwał się mozielną nad świętymi księgami, stary Rubin go odziewał i karmił, uprzednio wypłacając mu znaczny posag. Rubinowa

się, a mimo to liczba zatrudnionych robotników zmniejszała się o 10 proc.

Dla dzieł Łodzi przełomowym stał się rok 1866. Wówczas to uruchomiona została odnoga kolej warszawsko-wiedeńskiej z Łodzi do Kószek. W jedenaście lat później rząd rosyjski ogłosił protekcyjną taryfę celną zwiększając opłacalność eksportu z kraju nadwiślańskiego w głąb Rosji, a utrudniając jednocześnie import z Niemiec.

Już sama jazda bryczką z Tomaszowa do Łodzi dostarczyła Uszerowi mnóstwa pouczających wrażeń. We wsi Widzew rozrastały się zabudowania Widzewskiej Manufaktury Heinzla i Kunitzera *). Wokół miasta budowano domy i fabryki, osuszano bagna, karczowano pola. Samo miasto też się zmieniało. Dziwili wybrukowane lub kryte drewnianą kostką jezdnie. Namnożyło się sklepów. Drewniane domki tu i ówdzie ustępowały miejsca murowanym kamienicom. Stałym elementem krajobrazu miasta były pożary. Fabrykanci raz po raz palili przestarzałe manufaktury, by zagnąć swą premie asekuracyjne stawiając nowe fabryki. W ślad za strażą pożarną ciągnęły wozy z cegłą.

Koledzy Uszera z chederu nosili teraz modne, europejskie ubrania i na swego przyjaciela, wyróżniającego się talmudyczną wiedzą parzyli bez dostatecznego szacunku. Tego rodzaju spojrzenia rezerwowali raczej dla rozpędzonych, chlapiących błotem powozów bogatych fabrykantów. Na ulicach mówiono się o nowych fortunach i najnowszych plajtach, o notowaniu cen bawelny egipskiej na gieł-

dzie wskazania etyczne, plus handlowa edukacja kupca starej daty — Rubina nie wyszły Uszerowi na dobre. Potrafił on jednak z tej życiowej lektury wyciągnąć właściwe wnioski.

Plajta pochłonięła cały kapitał jego i ojca. Kilka tysięcy rubli — sumę na owe czasy znaczną. Fabryczkę uśmiercił kolejny kryzys, który spowodował bankructwo setek drobnych fabrykantów, umacniając zarazem pozycję wielkich rekinów. Uszer był dobrej myśli. Postanowił się odukuć. Tylko teść, człowiek praktyczny, kiwał z powątpiewaniem głową. Żeby teraz, w nowych czasach, rozwinąć interes, potrzeba albo znacznej gotówki, albo poważnych kredytów. Miał kapitał, przy którego pomocy uruchamia się niewielkie warsztaty, przynosi w efekcie raczej plajtę niż majątek.

Uszer obijał łódzkie bruki, wędząc, gdzie by tu można coś zarobić. Ale czasy były cięższe. Nic nie można było zarobić. I wówczas po raz drugi pojawił się na widowni maż opatrnościowy rodzinny Kohnów — stary Heinzel. Zaproponował on Uszerowi stanowisko kierownika działu sprzedaży w Widzewskiej Manufakturze. Wspólnik Heinzla — Kunitzer sprzeciwił się jednak owej nominacji. W końcu, krakowskim targiem, Uszer został urzędnikiem działu sprzedaży. Nie była to kariera zawrotna. Dawała jednak możliwość ocierania się o wielkie interesy, a łączyła się z obletnicą Heinzla, iż w wypadku polepszenia się koniunktury na rynku udzielił Kohnowi kredytów, gdyby ten zaprzagnął znów uruchomić własne przedsiębiorstwo.

tu, by nie maipować przedsięwzięć Zyndermana. Placowe włókiennictwo spadały. Plajtowały coraz to nowe fabryki. Proletariacy lokatorzy byli coraz mniej wypłacalni. Jednocześnie Łódź stawała się miastem normalnym, zatracającym swój pionierski charakter pierwszego okresu burzliwego rozwoju przemysłu. W Łodzi rosła ilościowo warstwa średnia i dla niej zaczął budować domy Uszer Kohn. Jego budynki o ciemnych podwórzach i takichże klatkach schodowych zawierały mieszkania dwu-trzy- i czteroiżbowe; takie, jakich poszukiwali urzędnicy, kupcy, majstrowie fabryczni, najrozmaitsi pośrednicy i ajenci, coraz liczniej kręcący się wokół łódzkiego businessu. Stanowili oni klientelę solidniejszą i wypłacalną.

Uszer rozpoczął budowę na własnej parceli, dysponując minimalnym kapitałem i

ZA TYDZIEŃ:

„Od Uszera do Oskara”

— Germanizacja i europeizacja niedoszłego rabina — Komentator Talmudu odkrywa w sobie talenty towarzyskie. — Podróż do Rosji i na Zachód. — Interes w Gdańsku, Skok nad morza w ogniu rewolucji — Śmierć Kunitzera. — Jak Oskar Kohn zarabia na general-gubernatorze. — Porządek i spokój, ale i kłopoty Oskara. — Akcje Wimpy leżą na lew na szyję. — Na widowni baron Tanfani. — Doniesienie na Goldfedera. — Bankier w pulapce. — Przed rzucaeniem sieci na Tanfanię.

NIESAMOWITOŚĆ SKONDENSOWANA

Książka Czesława Chruszczewskiego, zawierająca siedem opowiadań, nosi tytuł: „Bardzo dziwny świat” i określić ją można podobnymi słowami: „bardzo dziwna książka”. Dziwna i osobliwa ze względu na niezwykle upartą konwencję, z jaką autor eksplouuje wyobraźnię w celu stworzenia rzeczy niesamowitych, tajemniczych i sensacyjnych. Inwencja Czesława Chruszczewskiego w tym zakresie jest zaiste zdumiewająca — wydaje się, że można by oddzielić ją i to nie skąpo, kilku pisarzy spośród tych, których mają skłonność do żeglowania po ciemnych, zagadkowych morzach nie-

prawdopodobieństwa, mogącego przecież w jakiś szczególny sposób stawać się rzeczywistością. Autora „Bardzo dziwnego świata”, który z elementów rzeczywistości potrafi konstruować zgoda niezwykle sytuacje i wywoływać wizje niby spoza granicy naszych trzech wymiarów, interesują szczególnie anormalne — czy ponadnormalne — stany psychiczne, których treścią jest jasnowidzenie, halucynacja, rozdwojenie jaźni i różne osobliwe procesy podświadomości, dziejące się poza wolą i chęcią człowieka. Aby zrozumieć i właściwie ocenić twórczość Czesława Chruszczewskiego,

wypada tu przytoczyć coś niecoś z jego pisarskiej biografii. Chruszczewski jest autorem 20 słuchowisk radiowych, z czego przeszło połowę nadawano w programie ogólnopolskim. Za jedno z tych słuchowisk, które jako opowiadanie — „Fotel na autostradzie” weszło do omawianego tu zbioru, autor otrzymał przed dwoma laty nagrodę Polskiego Radia. Praktyka radiowa narzuca piszącemu pewne specjalne metody, sposoby i konwencje, odmienne od stosowanych przez tych, którzy piszą z myślą o wydaniu książki. Albowiem recepcja i reakcja radiosłuchacza jest z natury inna, niż recepcja czy-

tełnika. Wymagania anteny wycisnęły niewątpliwie swe piętno i w danym wypadku. Ma to i dobre, i złe następstwa. Styl opowiadań Chruszczewskiego nabrał żywości i zwartości, akcja toczy się szybko, sytuacje następują jedna po drugiej.

Niejedno słuchowisko radiowe traci jednak wiele w odczuciu i pojęciu czytelnika, właśnie wskutek względności wymienionych zalet. Czytelnik nie ma przed sobą stopera, nie brak więc mu czasu na zastanowienie się, refleksję i — dostrzeżenie niedostatków utworu. I wtedy w takim utworze, zrodzonym dla potrzeb

anteny, zauważy jego negatywy: skrótość i szkieletowość tła, fabuły, sytuacji, wątków, a niekiedy sztuczność więzów konstrukcyjnych i wreszcie to, co bodajże najdotkliwsze — geometryczną płaskość osób działających, pozbawionych psychicznego „wędrza” i „prehistorii” indywidualnej. Nie mówię już o występującej nieraz konieczności podbudowy opisowej lub odautorskiego intermezza. I te właśnie niedostatki sprawiają, że „Grand Guignol” Chruszczewskiego jest raczej teatrem kukiełek niż teatrem ludzi żywych.

Opowiadania Chruszczewskiego, choć zawierają niekiedy wątki kryminalne, nie zniżają się przecież do poziomu wulgarnych „kryminałów”. Ponadto — autor „Bardzo dziwnego świata” rozładowuje i rozwija swoje niesamowitości niemal z reguły w sposób racjonalistyczny, a więc

zgodny z logiką i zdrowym rozsądkiem, choć niekiedy czyni to w sposób za bardzo uproszczony. Sama zasada racjonalistycznych rozwiązań jest jednak słuszną i właściwą. Gromadząc i piętrząc w swych opowiadaniach eksponaty „dziwnego świata”, fascynując nimi czytelników i wprawiając ich nieraz w zdumienie, Chruszczewski w końcu zdaje się mówić: „A jednak, moi kochani, nie było w tym wszystkim żadnej metafizyki, żadnej interwencji sił „nadprzyrodzonych”, bowiem wszystko to — w pewnych określonych warunkach — zdarzyć się naprawdę mogło”.

Innymi słowy: cudów nie ma, o czym pamiętać warto i należy.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI.

* Czesław Chruszczewski „Bardzo dziwny świat”. (Poznań), „Wydawnictwo Poznańskie”, 1960 — str. 232; cena zł 12.—.

Najostrzejsze ołówki świata

GAHAN WILSON

Przez parę minionych lat gatunek „czarnego humoru” usunął się nieco w cień; miało to przyczynę w pewnym przesyceniu czytelników. Ostatnio jednak znów „czarny humor” wrócił do łask, nawet w Polsce rysownicy podejmują ten rodzaj (vide świetne rysunki Jerzego Kosieradzkiego z cyklu „Świat mechaniczny” — w „Szpilkaeh”). Pisałmy też na tym miejscu o kilku młodych humorystach francuskich, przedstawicielach „nowej fali” żartu makabrycznego.

Podobnie w USA młodzi znowu bawią się koszmarem, odzyskali popularność tacy mistrzowie jak Charles Addams, Virgil Parich i Gahan Wilson. Najmniej znany w Polsce Wilson był od dawna współpracownikiem wielkiego magazynu „Colliers”. Po likwidacji tego pisma przez pewien czas zajmował się wyłącznie ilustracją książek, a do karykatury powrócił po związaniu się z tygodnikiem „Sports Illustrated”, gdzie zbiera się obecnie śmietanka amerykańskich humorystów.

Rysunki Wilsona świadomie operują brzydota. Wilson unika estetyzowania, rysuje ludzi antypatycznych i ponurych. Przedstawia sytuacje drastyczne, niesamowite, trochę, jak ze złego snu. Często też ukrywa pointę swoich żartów, jak np. w dowcipie przed kasą biletową — pointa „strzela”, gdy się zorientujemy, że w kuftrze jest prawdopodobnie człowiek (a może zwłoki człowieka?...). Mimo tych komplikacji — dla odbiorcy tych żartów efekt ostateczny jest zawsze ten sam: śmiech.

Wydało się, że „czarny humor”, zwłaszcza na Zachodzie — stanowi zjawis-

ko zrozumiałe — i w gruncie rzeczy zdrowe. To naturalna reakcja wrażliwych rysowników przeciw konwencjonalnym i płaskim konceptom, przeciw wszem obecnej grafice reklamowej, gdzie ludzie są do obrzydliwości laśni i ulizani.

A z drugiej strony — owe żarty rozładowują śmiechem powódź makabry, która splywa na spokojnego obywatela z lamów „Zółtej”, brukowej prasy, z telewizji i filmów amerykańskich. Ten rodzaj dowcipów wykazuje, że makabrę nie zawsze należy brać serio. Dobra odtrutka!

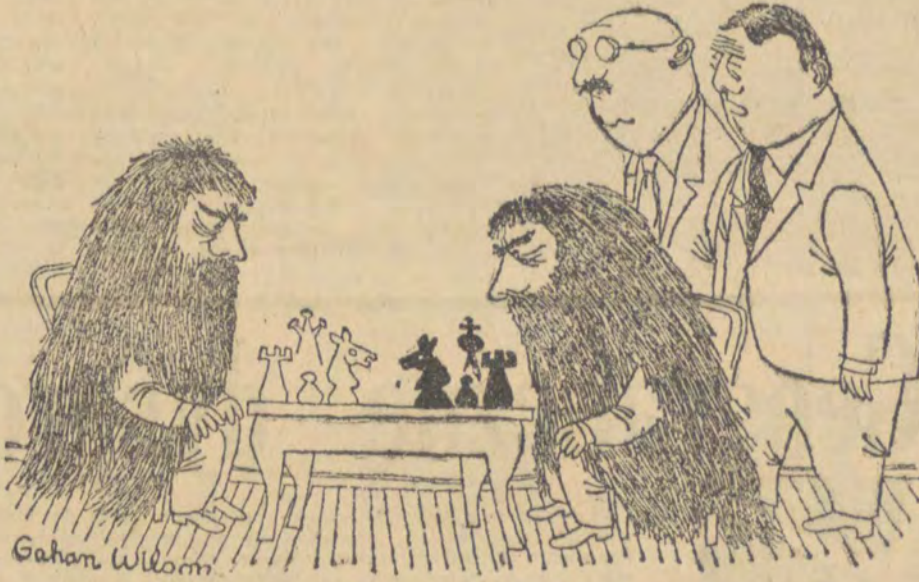
(Jert)



Proszę dwa bilety



Bez słów



Patrz, jeszcze żaden nie osiągnął przewagi



Bez słów



Bez słów

NASZA KRZYŻÓWKA

H	A	D	R	O	T	E	R	A	P	I	A
0	●										D
N		5					6				H
7							8				D
R	●										K
A											A
9	A	D	E	10			11				T
I											V
U	●										R
13	E	C	H	A	N	I	Z	A	C	Z	A

ZNACZENIE WYRAZÓW: POZIOMO — 1) Wodolecznictwo. 5) Łąka w lesie. 7) Narząd, część organizmu zwierzęcego lub roślinnego o określonej budowie i określonych funkcjach. 8) Pisarz brazylijski. 9) Plug podskibowy. 11) Pole. 12) Zwaliska, bardzo stary i opuszczony budynek. 13) Wprowadzenie maszyn i mechanizmów do produkcji. PIONOWO — 1) Wynagrodzenie za pracę w wolnych zawodach. 2) Połączenie trzech atomów tlenu. 3) Skaleczenie. 4) Palestyna. 5) Pod pierwszym piętrem. 6) Naczy nie, używane przez starożytnych Rzymian i Greków do przecierania oliwy i wina. 10) Służy do przymocowania statku w miejscu po-

stoją do nabrzeża, 11) Pokruszony mur. TERMIN NADSYLANIA ROZWIĄZAŃ 2 — TYGODNIE. ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI POZIOMO — boferko, Ajaks, epoka, Matapan, trap, raut, Izda, płat, park, talarek, arena, otawa, analiza. PIONOWO — brama, list, rzep, opona, antypka, kapitan, parapet, antykwa, Adyga, Atena, Akaba, lada, rogi. Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali: 1. ZOFIA KRAKOWIAK, Łódź, ul. Wyczółkowskiego 8 m. 1. 2. JANUSZ DERECKI, Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Sobótki 11a m. 12.

Redaguje Zespół • Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 95. Tel. 244-79 • Warunki prenumerat: miesięcznie zł 4,— kwartalnie zł 12,— • Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 • Z. 2745 IX. 60. R-5

HEMINGWAY ŁOWI RYBY

Dokończenie ze str. 7

mingway włożył kurtkę i kontynuował przerwana rozmowę.

— Przyjemnie jest być szefem sztabu i rozkazywać podwładnym. Pisarz to dla siebie szef sztabu i równocześnie podwładny. Albo raczej: szefem jest prac. To brutalny, wymagający i surowy szef. Aby wykonywać jego rozkazy, pisarz musi wyrzec się wszystkiego, co przeszkadza mu w pracy. Ale nie mogę pisać więcej aniżeli sześć — siedem godzin dziennie. Robię przerwę tylko na śniadanie. W dzień, po obiedzie, czytam. Czytam równocześnie kilka książek ulubionych autorów; z roku na rok czytam ich na nowo. Przede wszystkim Szekspira. Albo jadę na ryby, jak dziś..

W łodzi zapanowało milczenie. Motor warczy jednostajnie i wiatr gwizda w takelunku. Na powierzchni fal ukazały się kruche, białe grzebyki. Słońce obniżyło się na horyzoncie; zaczęło się szybko ściemniać. Łódź powoli zbliżała się do nadbrzeża klubu Tarara. Dwaj amerykańscy chłopcy w granatowych, przetkniętych białymi piórami spodenkach krzyknęli po angielsku do ojca:

— Patrz, superman tutaj! Ojciec obu chłopców zapytał nas o połów. „Superman” wskazał na jednego tuńczyka, którego niewzruszony Gregory właśnie wyjął ze skrzynki.

Ojciec obu chłopców grzeecznie pokławił głową. Przypuszcza, że ostatni sztorm rozpedził ryby.

— Tak — zgodził się pisarz. — Choć mówiąc szczerze, byłem przekonany, że przywieziemy nie mniej niż trzydzieści sztuk. Ale niech pan się nie martwi — zwrócił się do mnie. — Odkroję panu połowę tuńczyka. To nasza wspólna zdobycz.

Według tygodnika „Ogoniok” opracował Juliusz Saloni

odgłosy str. 11

PO WENECKIM FESTIWALU

Tak się często dzieje na filmowych festiwalach, że ostateczny werdykt sądu konkursowego nie znajduje uznania u publiczności i prasy. Nie odbiegł, niestety, od tej tradycji tegoroczny, 21-szy z kolei, Festiwal w Wenecji. Ogłoszenie nagród odbywało się wśród wrzawy protestów, szczególnie żywo zareagowała widownia przeciw przyznaniu głównej nagrody. A oto szczegółowe wyniki:

„ZŁOTY LEW” — film francuski reż. Andre Cayatte'a („PRZEPRAWA PRZEZ REN”). Film ma interesującą fabułę, lecz jego ostateczna wymowa jest wątpliwej jakości. Cayatte opowiada historię dwóch mężczyzn, zupełnie różnych usposobieniem i charakterem, których losy związała miniona wojna. Roger, z zawodu piekarz, jest osobnikiem skromnym, bez ambicji, „zgodliwym”. Jean — płomienny dziennikarz i patriota — dla obrony swoich ideałów podejmie największe ryzyko. Razem przeżyją kapitulację Francji i obóz jeniecki. Później ich drogi się rozchodzą: Roger pozostaje w Niemczech, wygodnie urządzony przy boku młodej chłopki. Jean wraca do Paryża, walczy w szeregach Ruchu Oporu. Po wojnie znów się spotykają w wyzwolonej Francji. Jean pozostał ciągle energiczny i aktywny, ale nieustannie nekany osobistymi kłeskami. Roger źle się czuje w ojczyźnie, wspomina z żalem półniewolnicze

życie na niemieckiej wsi. Postanawia wrócić za Ren, tam jest jego wygodna, spokojna „wolność”. „Przeprawę przez Ren” — do brze graną i reżyserowaną — odczytała jednak większość uczestników Festiwalu jako pochwałę życiowego oportunizmu. Inaczej sądzili pewnie jurorzy...

„SREBRNY LEW”: film włoski reż. Luchino Viscontiego („ROCCO I JEGO BRACIA”). Tu protestów nie było, dramatyczna, chwilami brutalna opowieść o losach czwórki braci, z pochodzenia chłopów, którzy osiedlili się w Mediolanie, drapieżny obraz środowiska zawodowych bokserów — wzbudziły ogólne uznanie.

ZA KREACJĘ AKTORSKĄ — kobiecą — nagrodę dostała SHIRLEY MC LANE (USA). Wystąpiła ona w filmie Billy Wildera „Pokój kawalerski”. Za najlepszą rolę męską nagrodzono JOHN MILLSA (Anglia), który grał w filmie „Melodie chwały” reż. Ronalda Neame.



Wenecki Festiwal nabrał szczególnie dużego znaczenia właściwie dopiero niedawno, w 1956 roku, kiedy to po raz pierwszy wprowadzono zasadę selekcji. Jeszcze przed właściwym rozpoczęciem imprezy, międzynarodowe jury przegląda zgłoszone filmy, wybierając zaledwie 14 najlepszych pozycji, które dopiero później są publicznie demonstrowane. W bieżącym roku wstępny etap przebrnęły następujące filmy: francuskie — „Przeprawa przez Ren” i

„Podróż balonem”, włoskie „Adua i jej towarzyszy”, „Delfini” (ciekawym film obyczajowy z życia młodzieży — patrz zamieszczony obok fotos), „Długa noc 43 r.”, „Rocco i jego bracia”, „Nowela szachowa” (NRF), „Melodie chwały” (Anglia), „Pokój kawalerski” (USA), „Nie ma nic większego niż miłość” (Japonia), „Wojna” (Jugosławia — film z udziałem Ewy Krzyżewskiej), „Biały gołąb” (Czechosłowacja), „Niebo Leningradu” (ZSRR) — oraz „Krzyżacy” (Polska).

M. B.

Kolorowym atramentem

Bardzo nie lubię, kiedy się „na kredyt” robi z ludzi — głupców. Stąd też jest dla mnie coś niemoralnego w tym, że istnieją dwie pułki filmów: jedna do zwykłego rozpowszechniania i — druga, wyłącznie dla klubów filmowych. Owa pułka „klubowa” składa się ponoć z filmów „trudniejszych”. Na honor, nie chcę obrażać sym patycznych klubowców-włókniarzy i studentów, ale chyba znalazł się w Łodzi patero takich osób, niekoniecznie nawet profesorów filologii i filmologii, którzy potrafia całkiem jednoznacznie zrozumieć i odczuć francuskie arcydzieło „Farrebiquet”. Ten podział filmów zakłada więc z góry i na wyrost, że poza klubowcami reszta społeczeństwa to ciemna masa...

Chodzi o meksykański film Louisa Buñuela „Los Olvidados”.

Kilkakrotnie już na tych łamach pisałem, że warto by, że trzeba... Później miłe reklamówki CWF poinformowały, że film ten został kupiony, nieczytało się wiele osób, które to i owo z ciekawych enuncjacji p. Bolesława Mielnickiego dowiedziały się o świetnym reżyserze. A ostatnio — te same organy CWF doniosły, że „Los Olvidados” został przez znawców wyłącznie dla klubów...

Postawmy nare pytanie:

1. Czy film, ten należy do kategorii „trudnych”?
2. Czy może jest to film dwuznaczny?
3. Czy są tu więc jakieś rzeczy „trefne”?

1. Przeciwnie. Opowieść jest prosta, dla każdego czytelna, można wskazać dziesiątki filmów, aktualnie krążących po ekranach, o znacznie bardziej splecionej akcji.

2. Nie ma tu żadnych zwikłan filozoficznych, co poeta chciał powiedzieć — zostało wyłożone w sposób, nie budzący żadnych wątpliwości.

3. Tak. W dwóch, czy trzech momentach (sekwencje snu) uwiłody Buñuela stare ciagotki do nadrealizmu, tu i ówdzie są akcenty erotyczne (dr Freud się tu kłania). Ale te akcenty prawie się nie liczą, nie ważą na całość. I kudy im do erotyzmu filmów francuskich lub włoskich!

O czym że wreszcie ten film traktuje? O chłopcach, o bandytyzmie. O zwróceniu uwagi młodzieży. Jest to najostrożniejsza ze znanych mi — rozprawa z plagą wszystkich społeczeństw współczesnych. Tak, nie oszczędzono nam niczego. Buñuel pokazuje, jak grupa wyrostków kamieniem ślepca, a kalekę bez nóg wyrzyna z inwalidzkiego wózka, który spycha w dół ulicy...

A więc — film bezkompromisowy, brutalny, okrutny. Czy tego właśnie obawia się Rada Repertariowa?

Odpowiadam: film, zmuszający do zastanowienia, film mobilizujący, film potrzebny.

Istnieją u nas skądinąd zrozumiałe lęki przed sztuką dla dorosłych. Owszem, pojawiają się na ekranach filmy, dotyczące spraw trudnych, drastycznych. Exemp lum: „Gorąca jest moja tęsknota”.

Bądźmy też wreszcie konsekwentni. Pokażemy inny film „dla dorosłych” — „Hiorozima, moja miłość” — o wiele bardziej trudny, złożony, nawet rzeczywiście dwuznaczny. Pokażemy więc i „Los Olvidados”, choćby zamiast niektórych panko wanych opowieści, na które zwabia się publiczność szatańsko przewrotnym chwytym reklamowym „Dozwolone od lat...”

JANUSZ WEYCHERT

Dlaczego NIE CHODZA do kina?

Geograficzne dysproporcje



Przed dwoma laty „Mieszanka filmowa” rozpisala ankietę p. n. „Dlaczego nie chodzę do kina?” Odpowiedzi przysły różne, wszystkie jednak mówiły o raczej bardzo osobistych, niekiedy trochę wymyślnych przyczynach tej awersji. Spróbujmy postawić kwestię inaczej, szerzej. Dlaczego NIE CHODZA do kina? Istnieje przecież w Łodzi bardziej liczna niż się na ogół wydaje — grupa ludzi, którzy albo zbyt rzadko cho-

W tej chwili na terenie Łodzi istnieje 31 kin, mogących przyjąć 11.831 widzów jednocześnie.

Nie jest to ilość wystarczająca. Przypuszczalnie długo będziemy musieli czekać, zanim przesłanie jakiegoś filmu przestanie być problemem. Ale jakkolwiek w latach 1945—57 nie przybyło, a raczej ubywało sal kinowych, to w ciągu ostatnich trzech lat sytuacja zmieniła się radykalnie. Zainteresowani zapewne pamiętają, że przed trzema laty w rubrykach repertuarowych gazet łódzkich figurowało zaledwie około 20 kin.

Zwiększenie ilości czynnych sal kinowych w tym stosunkowo krótkim czasie do liczby 31 jest przede wszystkim wynikiem stworzenia realnej bazy finansowej, poprzez odpowiednie podniesienie cen biletów. Ponadto uruchamianie nowych placówek odbywało się według zdrowych zasad: zamiast błyskotliwych, a kosztownych inwestycji podjęto w pierwszej fazie odrestaurowanie i wyposażenie

kin starych, przedwojennych.

Wreszcie jednak staniamy, jeśli już nie stoimy, przed faktem wykorzystania wszystkich możliwych do adaptacji większych sal w mieście. Wtedy, oczywiście, także trzeba będzie myśleć o kinach zupełnie nowych. Zwłaszcza, że inne większe miasta w Polsce zrobiły w tym względzie znacznie więcej od nas.

Przed ewentualną rozbudową sieci kin (a można sobie będzie w dalszym ciągu na to pozwolić, bo kina są rentowne) chcę zwrócić uwagę na pewne istotne fakty.

W śródmieściu na jedno miejsce w kinie przypada 28 ludzi — proporcja nawet bardzo przyzwoita. Ale w dzielnicy Górna na takie miejsce przypada już 76 ludzi, na Widzewie — 77, a na Polesiu — 92, a na Bałutach aż 134 ludzi.

Warto także zwrócić uwagę na pewne dysproporcje w ramach poszczególnych dzielnic. W Górnej na przykład wszystkie niemal kina

skupiają się wzdłuż ulicy Rzgowskiej, podczas gdy ul. Pabianicka z kompleksem uliczek pobocznych i Ruda posiadają zaledwie jedną maleńką „Muze”.

Podobnie rzecz się ma na Bałutach: wszystkie cztery kina skupiono wokół Bałuckiego Rynku, o krok od śródmieścia. A cztery dzielnicowe arterie — Limanowskiego, Zgierska, Łagiewnicka i Wojska Polskiego, a zwłaszcza ich krańcówki są zupełnie ich pozbawione.

Pewne jest, że mieszkańcy dalekich Bałut czy Rudy — a są to przeważnie robotnicy, chodzą do kina znacznie rzadziej niż mieszkańcy Piotrkowskiej. Nie dlatego, że nie chcą — po prostu kina nie ma w promieniu trzech kilometrów.

Aby umożliwić potencjalnemu widzowi z przedmieścia dotarcie do kin, trzeba pomyśleć o zbudowaniu sieci kin małych, tanich, nawet prowizorycznych — i w odpowiednich punktach miasta. Ze szczegółowymi wnioskami wystąpimy jednak później.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI



NA EKRAKACH

BAGNA

Bagna okazały się znakomitą, dramatyczną, świetnie fotografowaną przez operatora scenarię czeskosłowackiego filmu „Przez zieloną granicę”. Ten ciekawy film należy do nowego rozdziału w twórczości filmowej Czechosłowaków. Razi w nim jednak jednostronne ukazanie psychiki działających bohaterów, zawsze smutnych i pesymistycznych.

A. N.



KLUCZ

Film sławnego Carola Reada („Niepotrzebni mogą odejść”, „Trzeci człowiek”, „Maskotka”) ma dwa klucze: metalowy od mieszkania pięknej Stelli, który jest kolejno w posiadaniu kilku oficerów marynarki, oraz „Klucz” do ewentualnego rozszyfrowania zagadki kobiety fatalnej. Cały film jest jednak tylko dobrze skrojonym i granym melodramatem (Sophia Loren, Wiliam Holden). Co chciał powiedzieć Carol Read? Nie wiadomo. Do rozszyfrowania tej zagadki zabrakło w „Kluczu” odpowiedniego klucza.

A. N.

